PA

TE,



Sławny nowojorski kabaret Zieg
wychodzą za mąż za bogaczy a

ATOWIDA"

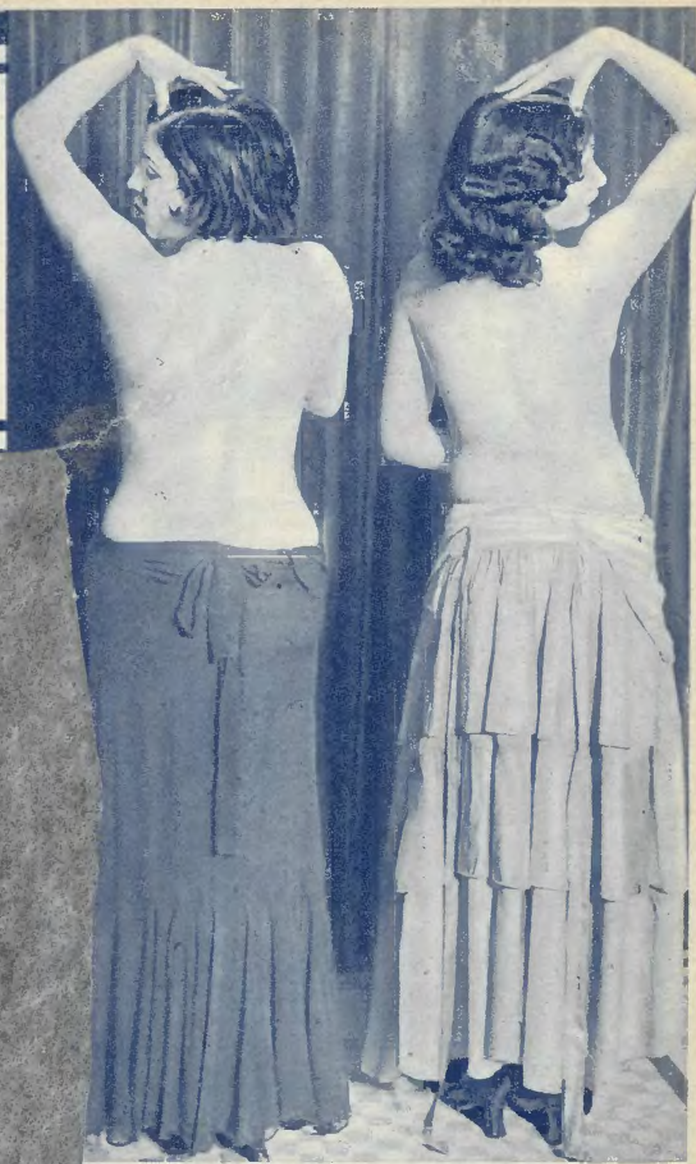


KOWIE.

iędzy któremi znalazł
i i inni. Organizatorz
ównież należy recytal
chimeckiego, dyr. Wa
ichta i Wargowskieg
leniem, że praca ich
zy mógł zapoznać si



NAJPIĘKNIEJSZE PLECY HISZPANJI.



W tych dniach odbył się w Madrycie w Teatro Metropolitano konkurs na najpiękniejsze plecy kobiece. Zdjęcie z góry przedstawia kandydatki, które uzyskały drugą i trzecią nagrodę, fotografja kolorowa zaś dziewczynę oznaczoną pierwszą nagrodą.

Trzeba przyznać, że na plecy dotychczas zbyt mało zwracano uwagi, przynajmniej na plecy kobiece. Podczas gdy np. piersi były od początku świata przedmiotem najżywszego zainteresowania poetów, malarzy, rzeźbiarzy, fotografów i wszelkiego rodzaju amatorów, to tymczasem odwrotna strona medalu, żeby się tak wyrazić, była w cieniu i zaniedbaniu. A przecież ileż wdzięku można przy dobrej oczywiście woli i po znudzeniu się piersiami kobiety odkryć... w plecach. Piękny, dostatecznie długi, czysty, bez zbyt rażących skaz, tylny dekolt kobiecy, to atrakcja dla oka mężczyzny, oraz estety wcale nie do pogardzenia... Z pewnością te były racje, które skłoniły obywateli młodej republiki hiszpańskiej, że zainicjowali konkurs na najpiękniejsze plecy. Konkurs ten, jak można osądzić z naszych ilustracyj przyniósł bardzo dodatnie rezultaty...

Ponieważ Hiszpanja dzisiaj, jest tak modna nietylko w polityce, ale także w rewjach i kabaretach, kto wie czy wobec tego nie stoimy przed serją konkursów plecowych w całej Europie i w całym świecie. Potem wybierze się najpiękniejszą Miss Plecy na wszystkie pięć części świata i na 365 dni. Kto wie, czy niebawem też nie pojawi się uczona rozprawa pt.: „Pokaż mi jakie masz plecy, a powiem ci... jaki jest twój ideał". Inna rzecz, że już i dzisiaj, możnaby podobną rozprawę napisać: „Powiedz mi jakie masz plecy, a powiem ci czy dostaniesz tę posadę".

Ale to już jest całkiem inna plecologja.

Tommy.

PROCES „BRZESKI".



Obok:
W czasie przerwy na ławie oskarżonych. Od lewej adwokat Honigwill, dr. Putek, p. Bagiński, poseł Barlicki, poseł Sawicki.

ZDJĘCIA
AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

[illegible] wita oskar- [illegible] stka.







Duże u[illegible] zeznani[illegible] skie[illegible]

Na lew[illegible] zeznaj[illegible]

Na pra[illegible] chiw[illegible]

Ogromna sala Sądu Okręgowego w Warszawie natłoczona do ostatniego miejsca. Korytarze także przepełnione. Wśród tłumu publiczności widać znane twarz[illegible] więźniów brzeskich, rozmawiających z adwokatami. Na[illegible] strój niefrasobliwy. Od trzech tygodni trwa już proces[illegible] zarówno więc oskarżeni, jak obrońcy i publiczność przy[illegible] zwyczaili się do nowego trybu życia, do jakiego zmusza[illegible] ich przeciągający się proces.

Codziennie to samo...

O godz. 9-tej rozpoczyna się rozprawa i trwa z mał[illegible] mi przerwami do 5-tej popoł. Wypełnia ją przesłuchiwanie świadków, przeplatane incydentami o większem lub mniejszem napięciu.

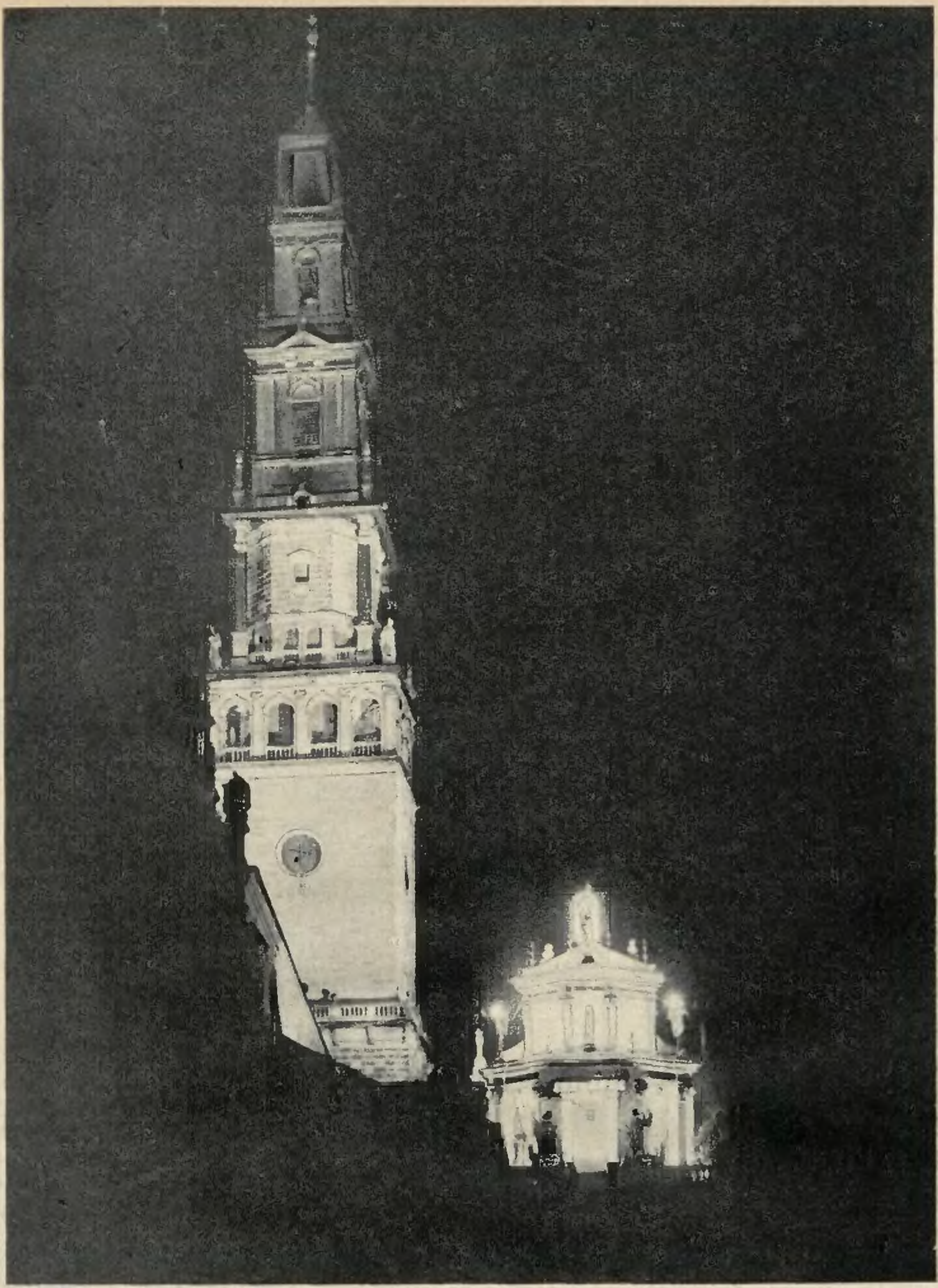
Właśnie rozlega się dzwonek...

Znak to, że zaraz sąd wejdzie.

Oskarżeni corychlej wracają na swoje miejsca i sadowią się na ławach. W pierwszym rzędzie widać siwą czuprynę pos. Liebermana. Twarz jego skupiona i nieruchoma przypomina ptaka drapieżnego, gotującego się do niespodziewanego ataku. Wiedzą o tem doskonale zarówno świadkowie, jak i prokuratorzy i dlatego pozornie niewinnych, a jednakże bardzo ważkich zapytań tego posła słuchają z wielką uwagą.

Poseł Mastek jest trudnym do okiełznania. Gruby, postawny, o twarzy rentiera (z zawodu jest ślusarzem kolejowym) raz po raz protestuje, to przeciwko uśmiechowi prokuratora, to przeciwko zeznaniu świadków, to przeciwko niestosownym pytaniom. Zachowuje się rubasznie. Również nieprzejednany jest poseł Ciołkosz.

[illegible] się [illegible] żkie [illegible] st to [illegible] np. [illegible] niż [illegible] Wte- [illegible] nni- [illegible] po- [illegible] rzez [illegible] iad- [illegible] się [illegible] wet [illegible] pra- [illegible] wy- [illegible] cy!! [illegible] awie [illegible] nie [illegible] po- [illegible] m.



WAŻNE ZMIANY NA JASNEJ GÓRZE.



Nowy generał Zakonu OO. Paulinów, O. Pius Przeździecki, bardzo zasłużony około spraw klasztornych i wogóle religijnych. Fot. „Sztuka", Częstochowa.

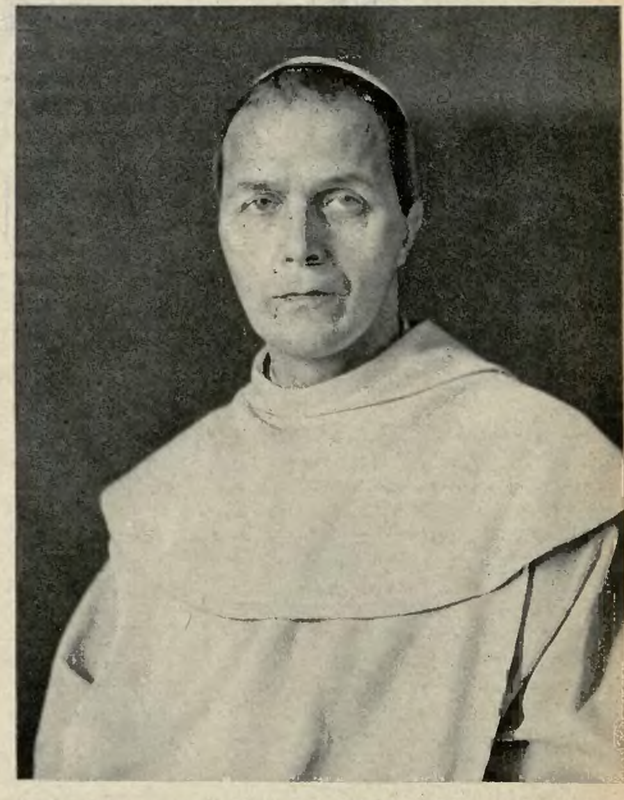
Powyżej: Wysoko w niebo strzelająca nowa wieża klasztoru Jasnogórskiego oraz kościół w oświetleniu wieczornem. Fot. Przybylski, Częstochowa.

W ubiegłym miesiącu odbyły się na Jasnej Górze obrady kapituły Zakonu OO. Paulinów, w których wziął udział konwent jasnogórski oraz wszyscy OO. Paulini z klasztoru na Skałce w Krakowie z przeorem O. Bernardem Dudzińskim i z przeorem O. Augustynem Jędrzejczykiem na czele.

Na porządku dziennym m. in. znajdowała się sprawa wyboru przeora jasnogórskiego, który jest wybierany co trzy lata. Dotychczas obowiązki przeora i jednocześnie generała całego Zakonu OO. Paulinów były skoncentrowane w rękach jednej osoby: od lat 16-tu ciężkie to i odpowiedzialne zadanie spełniał O. Markiewicz, który poza wieloma poważnemi zasługami, przeprowadził konserwację cudownego obrazu, przebudował kaplicę, spowodował wzniesienie krużganków, oraz odnowienie wnętrza wielkiego kościoła. Były to oczywiście poważne inwestycje, kosztujące poważniejsze sumy pieniędzy i wiele dni ciężkiej pracy, bowiem chodziło tu, jak zwykle przy pracach tego rodzaju, o najściślejsze zachowanie swoistego charakteru archaicznego stylu, jakim się odznacza Jasna Góra, której historja, według pisanych kronik, datuje się od dnia 9 sierpnia 1382 r.



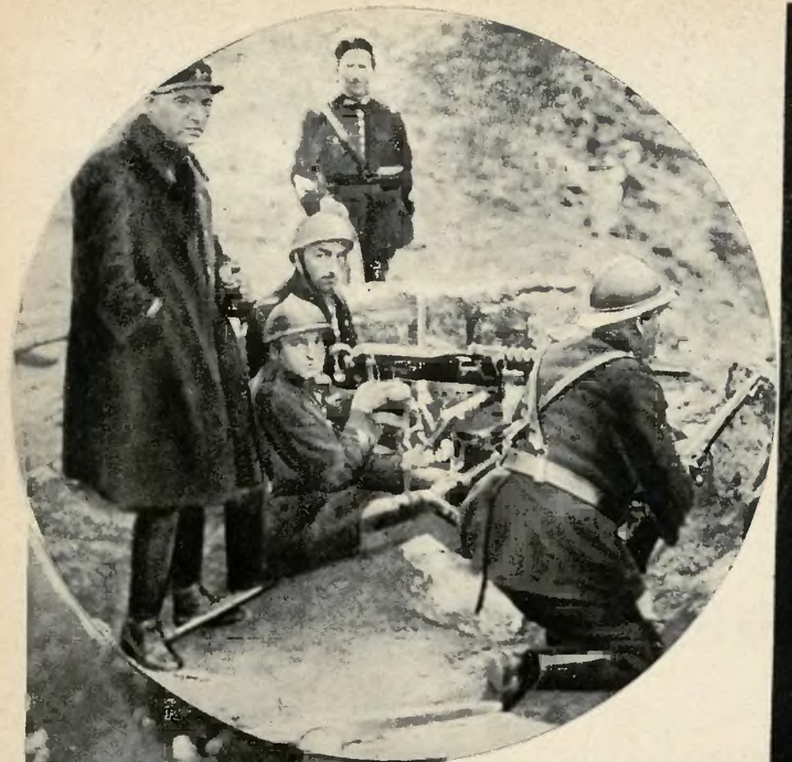
Górnoślązaczki, przybyłe wraz z pielgrzymką na Jasną Górę, żarliwie modlące się na postojach przydrożnych. Fot. „Sztuka", Częstochowa.



Nowoobrany przeor klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze, O. Dominik Zienkowski, któremu przypadnie w udziale kontynuowanie prac swego zasłużonego poprzednika — O. Markiewicza. Fot. „Sztuka", Częstochowa.

Znużony ciężką i długoletnią pracą, O. Markiewicz ustąpił ze swego odpowiedzialnego stanowiska, przyczem kapituła, po dokładnem rozważeniu, postanowiła rozdzielić stanowiska generała i przeora pomiędzy dwie osoby, które w ten sposób łacniej podołać będą mogły wszystkim swym zadaniom. W rezultacie generałem Zakonu OO. Paulinów wybrano długoletniego zakonnika Jasnej Góry O. Piusa Przeździeckiego, zaś przeorem klasztoru jasnogórskiego O. Dominika Zieńkowskiego.

FRANCJA W WALCE Z BANDYTAMI KORSYKAŃSKIMI



Grupa żandarmerji francuskiej z karabinem maszynowym czuwająca na posterunku górskim na Korsyce.
Trampus, Paris.

Romantyzm wygasa bezpowrotnie na ostatnich, najbardziej odosobnionych placówkach. Takimi romantykami z krwi i kości byli do niedawna jeszcze bandyci korsykańscy, którzy żyli sobie w ostępach dzikiej Korsyki, czyli w t. zw. „maquis“ i cieszyli się opinją honorowych Janosików. Bandytą na Korsyce zostawał z reguły ten, kto pomścił się za jakąś zniewagę w myśl wskazań nieśmiertelnej „vendetty“. To też bandyci korsykańscy nie mogli być uważani za zwyczajnych bandytów, dybiących na pieniądze, gdyż w czynach ich grały rolę przedewszystkiem momenty honoru. Niestety jednak i do tych romantycznych zbójów korsykańskich dotarły hasła komercjalizacji...

Bandyci korsykańscy zwiedzieli się, że w Ameryce istnieje niejaki Al Capone, który nakłada kontrybucje i haracze na rozmaite składy i instytucje a gdy napotyka na opór wówczas podkłada t. zw. po amerykańsku „pudełko z czekoladkami“ t. zn. bombę, albo ładunek dynamitu. Genjalna ta metoda przypadła do smaku bandytom korsykańskim. Zaczęli więc grasować w rozmaitych miejscowościach kąpielowych, gdzie było sporo magazynów luksusowych oraz bogatych hoteli. Wyprawiali się tedy ze swych górskich schronisk na niziny i zapytyli grzecznym tonem, czyby właściciel nie był łaskaw zapłacić tyle a tyle tysięsy na biednych bandytów. Jako argument pokazywali lufę rewolweru...

Oczywiście takie igraszki nie mogły podobać się władzom francuskim. Wszystko było dobrze, dopóki bandyci byli malowniczy i romantyczni. Wtedy można było ich pokazywać za drogie pieniądze rozmaitym snobom z Anglji i Ameryki, a sentymentalne Angielki pisywały ogniste listy do przywódców bandyckich ofiarowując im nietylko pieniądze, ale i coś więcej.

Z chwilą jednak, gdy bandyci zaczęli grozić bezpieczeństwu publicznemu i narzucali się w sposób nieznośny kupcom, władze francuskie postanowiły skończyć z plagą. Zorganizowano wyprawę pod wodzą gen. Huot, który na czele 1.500 żołnierzy, posiłkowany wozami pancernemi i karabinami maszynowemi otoczył główne ogniska bandytyzmu a więc miasteczko Palneca z okolicą.

bandytów przyszły ciężkie czasy. W ciągu niedługiego czasu zginęło 5-ciu wybitnych kierowników jak Caviglioli, Romanetti, Bartoli i inni.

Nadomiar złego dawna aureola bandycka zaczęła znikać. Oto przywódca Bartoli nałożył na sklep kupca Simonetti'ego wysoki haracz. Gdy Simonetti nie chciał zapłacić okupu, bandyta wezwał go „na sprawę“. Wówczas dzielny kupiec pojechał autem i zaproponował Bartoli'emu małą przechadzkę po lesie. Gdy znaleźli się wśród drzew Simonetti spytał niewinnie, czy Bartoli trafi z rewolweru do drzewa odległego o pięćdziesiąt kroków. Bartoli zaczął się przechwalać i ustawił się do strzału. Wtedy Simonetti wydobył rewolwer i niby przez pomyłkę łupnął nie w drzewo, ale... w Bartoli'ego.

Ta lekcja strzelania odbiła się głośnem echem na całej Korsyce. Na nietykalnych bandytów padł blady strach. Ale również Simonetti, który otrzymał pół miljona franków nagrody, wolał uciec do Paryża, aby tam oglądać ostatnie rewje zamiast siedzieć w nudnem miasteczku, gdzie lada chwila ktoś „przez pomyłkę“ mógł mu rozbić kulami okna i — jego głowę.

Pomimo energji gen. Huota nie zdołano dotychczas przyłapać najwybitniejszego bandyty, niejaki Spady. Zajęto dom Spady, znajdujący się na t. zw. przełęczy śmierci, który jak się okazuje był wyposażony w karabiny maszynowe itp. figle, ale nie znaleziono samego Spady. Przyłapano natomiast dwie jego kochanki i popełniono rzecz wysoce niedelikatną osadzając kobiety w tej samej celi więziennej. Efekt jest taki, że kochanki biją się od rana do wieczora i zarzucają się słowami nienadającemi się najzupełniej do druku. Tymczasem Spada hula w górach i przez swoich wysłanników zamawia... suknie w eleganckich magazynach w Ajaccio. Zamawianie to polega na tem, że wysłannik Spady zabiera pod pachę suknie a rachunek każe przysłać w—góry. Oczywiście żaden kupiec nie waży się przysyłać rachunku, w obawie, że byłby to jego ostatni rachunek wystawiony za życia...

Żandarmerja francuska nie ma w swojej pracy zbyt łatwego zadania, gdyż ludność wiejska potajemnie sprzyja bandytom, ukrywając ich w swoich chatach. Pogrzeb takiego n. p. bandyty jak Bartoli był wielką manifestacją całego miasteczka Palneca. W pogrzebie tym brał udział również zabójca Bartoli'ego — Simonetti, któremu matka zamordowanego powiedziała: „Wszystko w porządku — nie mam zupełnie do pana żalu. Niech pan tylko pamięta, że mam drugiego syna, który siedzi w tej chwili w więzieniu w Ajaccio. Jak ten wróci, to będzie chciał się z panem napewno zobaczyć“.

Ale Simonetti nie czekał...

Z. G.



Poniżej w kole:
Bandyta Spada w zasadzce, zdjęty przez niedyskretnego fotografa.
Keystone — Paris.

Poniżej:
Żandarmi prowadzą skutych bandytów, schwytanych w górach.
Wide World Photos — Paris.









Obok: Korsykański bandyta ze swoim wiernym psem w górach.
C. Delius, Nice.

Dom bandyty Spady na t. zw. Przełęczy śmierci w górach korsykańskich.
Keystone — Paris.





PODRÓŻ NA WSCHÓD.



Bronisława Rychter-Janowska, znana artystka-malarka na pokładzie okrętu w drodze do Azji Mniejszej.

Drogę z Krakowa w głąb Azji Mniejszej via Konstancja—Stambuł, przebyłam w ciągu dni dziesięciu. Zatrzymuję się w Usaku, mieście położonem między Stambułem a nową stolicą Turcji, Angorą.

Miasto to zniszczone w czasie ostatniej wojny z Grekami, powoli odbudowuje się w stylu zupełnie europejskim. Jest ono słynnem z wyrobu dywanów o specjalnej barwie. Dywany te mają już swoją ustaloną sławę na rynkach zbytu i są poszukiwane.

Ziemia nie ma tu żadnej wartości. Tysiące tysięcy hektarów leży odłogiem w puszczach i niezamieszkałych okolicach. Zaludnienie bardzo słabe, jedynie w miasteczku mrowie ludzkie jest nieprzebrane.

Wsie tureckie malownicze. Domy z drzewa, gliny, sieczki i kamieni. Robią wrażenie filigranowych, ale to myli, bo są to najsilniej skonstruowane osiedla, zamknięte w sobie, otoczone murem, na którym stoją doniczki z kwiatami. Przy każdym domu terasy na piąterkach.



Aksji, miejscowość w Azji Mniejszej. Obraz malowany przez Bronisławę Rychter-Janowską.

Wszędzie, gdzie są osady, spotyka się klasyczne arabskie studzienki, a także przy drogach i wśród pustynnych okolic, zaopatrzone w długie koryta, z przepływającą źródlaną wodą, przy których zatrzymują się karawany, oraz poją stada bydła i owiec.

Z Usaku do Smyrny jedzie się 11 godzin pociągiem pospiesznym, w temperaturze 65 st. To nie żart. Prawdziwie azjatycka podróż poprzez okropną martwotę, pozbawioną wszelkiego śladu życia wśród ognia lecącego z nieba, jest męką nie do opisania. Na szczęście kończy się ona przed Smyrną w B a y r a k l i, gdzie zatrzymuję się w gościnnym klasztorku OO. Franciszkanów. Bayrakli jest to osada katolicka włoska, i czuję się tu jak u siebie.

Męczącą tę nad wszelkie pojęcie podróż wynagradza mi najpiękniejszy widok Smyrny, jaki oglądam z terasy klasztornej. Wygląda jak rozsypane płatki tlejącej róży, zawieszone nad szafirami Egejskiego morza.

Cud! Cud! — Len różowy z białych marmurów! Nazajutrz przepływamy statkiem zatokę i w 10 minut stajemy w Smyrnie. Słońce pali, morze chłodzi, ale w samej Smyrnie podzwrotnikowa tropika. Dosłownie stapiam się, chociaż do południa jeszcze daleko, ale zwiedzam miasto, które w swej najpiękniej położonej części przedstawia jedno wielkie morze runi.

Smyrna zrąbana i strzaskana granatami na szuter w ostatniej wojnie z Grekami, pozostaje w absolutnej ruinie. Place na Quai i cudne białe poerje z cienistemi palmami znikły, szczątki kolumn zgruchotane, kapitele zwalone w gruzach. Przerażający widok zniszczenia.



Ogólny widok miasta Smyrny. — Na pierwszym planie stary cmentarz.

W szczątkach olbrzymiej moszy gnieździ się ludność uboga. Na miejscu dawnej Smyrny powstaje Smyrna moderna. Domy i pałace pod rząd jednakie, według najnowszej techniki budowane, tworzą szerokie, otwarte ulice, wytyczone ostatnim planem. Tylko część pałaców na Quai pozostały nienaruszone, w nich mieszczą się konsulaty wszystkich państw, zajmują je dostojne osobistości miasta, pierwszorzędne hotele i pensjonaty, biura nawigacyjne naprost portu.

Quai ciągnie się na przestrzeni 3 i pół klm. — Środek Smyrny tworzą jak węzeł gordyjski powikłane uliczki, w których najłatwiej zabłądzić. Domy tu małe, wąskie, niskie, sklepy ciągną się łańcuchem wzdłuż obu stron, przez uliczki te przesuwają się karawany i wszelakie szczepy ludzkie. Najżywsze barwy mienią się w słońcu. Różnobarwna masa ludzka przelewa się przez miasto, które wre życiem wschodniem.



Sokolnik z Azji Mniejszej.

Port przedziwnie czysty i spokojny, a przecież zajeżdżają tu okręty z całego ś w i a t a, gdyż Smyrna jako port azjatycki, łączy dwie części świata w h a n d l u Wschodu z Zachodem.

Sławne tkalnie dywanów mają najcenniejsze zbiory okazów z rozmaitych okresów, pierwszorzędne okazy antyczne, biorące nazwę od miejsc, w których je wykonują: Trojańskie, Karaki, Bucara, Szirwalian, Afgan, Gizawan, Sumak, Beludż i inne. Dywany olbrzymy, średnie, małe, maleńkie, jedwabne modlitewniki w najwytworniejszych tonach, o złotym połysku, nieraz bezcenne w swej wartości. Składy tych drogocennych przedmiotów posiadają je w zawrotnych cyfrach, a jednak właściciele wiedzą o każdej sztuce z zadziwiającą pamięcią.

Smyrna słynie na cały świat z dostawy fig, które w olbrzymich ilościach ładują na okręty. Ze Smyrny odchodzą w świat rodzynki, bawełna, wełna, oliwa najprzedniejsza, tytoń, opjum. Tytoń w przemyśle domowym na wsi otrzymuje się po 2 funty tur. (1 dol.) za 5/4 klg. Dla palaczy raj wymarzony.

Psy, głodne szkielety ze świecącemi oczyma wałęsają się, nikt im jeść nie rzuci. Kupowałam przy każdym straganie chleb i bułki karmiąc je. Ileż wdzięczności było w ich gasnącem spojrzeniu. A słońce pali niemiłosiernie i zwiększa straszną mękę tych stworzeń.

W godzinach wieczornych siadam na terasie i patrzę w bezmiar wód, tak o tej porze cichych i spokojnych. Czar Smyrny występuje najwięcej o zachodzie słońca. Opromieniona glorją różowych promieni drży w wibrach unoszących się z morza, srebrna mgła ściele się u jej stóp, wszystko wokoło jakieś przejrzyste, czyste, lśniące w perłowej poświacie szybko zbliżającego się wieczoru.

Jak dobrze! Jak kojąco!

Wyjeżdżam ze Smyrny okrętem tureckim „Adnan" przez cieśninę A d r a m i t i przez Dardanele, morze Marmara i jeszcze raz zatrzymawszy się w Stambule, wsiadam na statek rumuński „Król Karol", jadący z Jafy do Konstanzy, żegnam marzące wzgórze Seraju, przeżywam jeszcze raz baśń Bosforu.

Jestem dziwnie spokojna i w sobie radosna. Za mną kawał przebytego świata, wszystko dźwięczy we mnie egzotyczną muzyką wrażeń, wiozę w duszy ocean nagromadzonego piękna.

Jest upojnie, atmosfera na okręcie przemiła, dzień dobiega końca, w przestrzeniach beznadziejna fjoletowa pustka, dusza ziemi układa się do snu na dnie morza...

Małe miasteczko w pełnym blasku lamp płynie po głębinach, muzyka gra, wirują pary, słychać brzęk kryształów napełnionych bursztynem win wschodnich... upojna radość życia... a za balustradą noc wyhaftowana srebrem gwiazd i poświatą księżyca.

Moja ostatnia noc na morzu.

Poza mną czarowny wschód! przedemną Europa, dom, wypoczynek.

Br. Rychter-Janowska.

PARADA W MOSKWIE.



Defilada tanków w dniu 7 października b. r. na placu Czerwonym w Moskwie.

Obok: Defiladę armji czerwonej przyjmowali generalissimus Woroszyłow (w pierwszym rzędzie w pośrodku) i gen. Budienny (obok Woroszyłowa po prawej) znany z walk polsko-sowieckich w 1920 r.



Corocznie w dniu 7 października odbywa się w Moskwie wielki obchód na pamiątkę rewolucji październikowej, która dała w 1917 r. komunistom władzę w Rosji.

W połowie 1917 r. było już wiadomem, że kolos rosyjski chyli się do upadku. Na froncie powtarzały się ciągle bunty, a wewnątrz kraju rosły niepokoje i zaburzenia, nad których wywołaniem pracowała niezmordowanie propaganda niemiecka, a także ci z komunistów, których Niemcy w zaplombowanym wagonie zawieźli do Rosji. Na czele tej propagandy stali Lenin i Trocki. Oni to, reprezentując najskrajniejszą doktrynę społeczną, korzystając z niezaradności rządu Kiereńskiego, który obaliwszy carat, dał się nieść wypadkom i nie umiał odegrać tej historycznej roli, jakiej od niego wymagała chwila dziejowa, umieli masy pozyskać dla swoich celów i uczynić je niewolnikami nowej dyktatury, tym razem nie białej, tylko czerwonej. Od tego czasu minęło lat czternaście. Wbrew przewidywaniom, bolszewizm zdołał utrzymać się, a federacyjny związek socjalistyczny republik został oficjalnie uznany niemal przez wszystkie państwa świata. Komuniści oczywiście, jak było do przewidzenia, nie wprowadzili mieszkańców olbrzymiego imperjum rosyjskiego do raju, ale uczynili z nich stado eksperymentalne, które cierpliwie musi poddawać się najrozmaitszym próbom, wynikającym z ideologji bolszewickiej. Ponieważ jednak życie jest silniejsze od wszelkich doktryn, przeto i komuniści muszą bardzo często odstępować od swoich teoryj i powracać do dawngo kapitalistycznego porządku.

Największą chlubą Sowietów, państwa, które zawsze głosiło, że jest na wskroś pacyfistyczne, jest ich armja. Zaprowadzono w niej żelazną karność, a zdolny organizator Woroszyłow, przy pomocy oficerów niemieckich umiał uczynić z niej narzędzie bardzo sprawne.

Kawalerja sowiecka przed mauzoleum Lenina.



Poniżej: Propagandowe transparenty niesione przez dzieci.



TEN FILM MA TEMPO.



Feliks Felkel, literat krakowski.

— Panie kinooperatorze Kabiniak, zaczynamy puszczać film. Uwaga! Wsadzaj pan rolę na bęben i niech panu perforacja nie nawali. Kontrolować lendę! I tempo! tempo!

— Film będzie rewizjonistyczny. Dziś publiczność żyje pośpiechem 150 klm. na godzinę — uważasz pan. Trzeba przeglądnąć i wyrzucić do lamusa co stare; wprowadzamy nowe pomysły, reszta do sprzedania po zniżonej cenie. Gotowe? Dobrze — baczność — zaczynamy. Panie Kabiniak tempo! tempo!

Obraz pierwszy: gentleman, mina amerykańska, łapy bokserskie, spojrzenie szoferskie. pewność, , trening w chodzeniu, mówieniu, myśleniu, absolutna standaryzacja. Na nogach Indjanmocasiny (podwójna gumowa podeszew firma Trottel-Trottel). Zdrów jak rydz

— Z kim mam zaszczyt?

— Pluj pan na zaszczyt, jestem Mrs. William Wincenty Sadłoń, Polak naturalizowany w Ameryce. Sportsmen w stu procentach. Na aucie poniżej 150 klm. nigdy — rozumie pan. Wchodziłem na Mount Everest, w Southampton wziąłem nagrodę na wyścigach jechtowych ślizgowców, biegam bez zmęczenia 10 klm. i skaczę na metr ośmdziesiąt.

— Też sztuka — z takiego rozpędu. Jak ja się rozpędzę dziesięć kilometrów to pewnie skoczę na trzy metry...

— *Goddam!* Pan nie masz pojęcia o sporcie. Pan mówi herezje.

Msr William Wincenty Sad'oń jest oburzony i pluje na dywan.

— Mrs. Sadłoń pluj pan na sufit.

— U nas niema zwyczaju.

— Ale ja lubię rekordy. Pasjami! Nadto z chęcią z panem pokonferuje w sprawach sportowych. Zechce Pan usiąść...

— *Thank you.*

Stu procentowy sportsmen siada na kanapie opierając Indian moccasiny na oparciu —

— Aj Msr. Sadłoń. Biedermayer — czeczotka z iryzującym fornierem nie znosi, że tak powiem, dotknięcia pańskich znakomitych podeszew firmy Trottel — Trottel.

— Pluje na pańskie Biedermayery, pluje wogóle na maniery. Jestem sportsmen — rozumie pan. Siła, absolutna rekordowość we wszystkiem toruje drogę przez świat. Reszta bujda. Musicie to zrozumieć wy, którzy dziś wydajecie pierwszych zwycięzców na kortach i stadjonach. Wprawdzie wasza Jędrzejowska w Wimbledon i Nizzy dostała w skórę...

— Jak na razie więc, taki polski rznięty puhar wędrowny.

— Nie przerywaj pan. Ona będzie wnet trzecią rakietą świata.

— Już ta trzecia rakieta lepsza, jak pańskie siedm grzechów głównych. Mrs. Sadłoń, na miłość Boską, nie wytrzepuj pan popiołu z fajki na moją karamanję.

— Mówię, że pluje na karamanjery. Co się zaś tyczy sportu...

Otóż to. Co się zaś tyczy sportu, to bynajmniej nie zaniedbuję jego znaczenia i sam noszę się z zamiarem założenia żeńskiej drużyny strzelania kulą w płot. A co do pana, to niestety muszę zauważyć, że pan bynajbniej nie jest tak nowoczesny, jak się panu wydaje, przeciwnie, pan jest wczorajszy i dlatego będę musiał pana wykreślić z mojego filmu i posłać do lamusa. Albowiem Mrs. Sadłoń doszczętnie minęła już epoka, kiedy młody sportowiec uważał sobie za obowiązek charakteryzowania się na każdem miejscu w cechy brutalnej siły. Ludzie naprzód upijają się czemś a potem mądrzeją. To cytat — jak pan na pierwszy rzut oka zauważy — z Króla Leara.

— Jestem z U. S. A. i nie znam się na feudałach.

— Mniejsza z tem. Jedziemy dalej. Po rekordomanji zrozumiano, że to niema nic wspólnego z manjerami i że chcąc możliwie żyć, trzeba znać pewną technikę życia społeczno towarzyskiego, co nazywa się poprostu dobrem wychowaniem. Gdzie wszystkie indywidualności są w ciągłym ruchu, tam kanciastość boków musi być starta, jeśli niema razić drugich i na cięgi narażać siebie. Nowi ludzie z rekordów XX w. zbyt długo już trą się w tym młynie, by tego nie zrozumieć. Dlatego Msr. William Wincenty Sadłoń, pan jest człowiek wczorajszy, nie nadaje się do filmu ludzi jutra. Żegnam. Niech pana nagły bumerang trafi. *Fare you well.* Pisz pan na Popocatepetl. Sprowadzam pana do zera!

Gentleman Mrs. Sadłoń przepada w kasecie filmowej.

— Panie kinooperatorze Kabiniak następny akt. Pilnuj pan blendy i tempo... tempo! trzeba mieć wyczucie czasu Już! doskonale. — Walimy dalej. Z życiem! Aha — jest obraz.

Milcz serce. Dama. Sam wiek XX — fatalność. Marlena Ditriech — liljowość spojrzenia, nad którą trzepota się motylowość rzęs. Linja, eteryczność, kobiecość niezrozumiana przez wiecznie głodnych zmysłów (— zwracam uwagę na expresję wyrażeń) mężczyzn.

— Pani...

Skinięcie głową, melancholja, czar, wiotkość kobieca złamana w tej chwili wraz z piórem z powodu niemożności wysłowienia tego, co widzę (— cóż u licha, expresja, ex-press-ja).

— Przepraszam, nie mogę sobie przypomnieć, ale jednak panią znam. Zaraz, ten zapach...

— Chevalier D'Orsay.

— Proszę wybaczyć... ale ten zapach farby drukarskiej... już wiem. Pani jest dusza z papieru, pani świeżo wyszła z oprawy książek Boy'a — aha — pani jest „dziewica konsystorska".

— Nie myli się pan. Brutalność i niezrozumienie przez mężczyzn zmusiły mnie do trzykrotnego rozwodu. Ja właśnie w tej sprawie. Mój obecny trzeci mąż jest stary ramol a ja mam lat zaledwie czterdzieści, jestem muzykalna...

(— Więc bemol z czteroma krzyżykami — myślę).

...i pragnęłabym znowu rozwieść się. Jestem jak pan widzi kobietą nowoczesną i potrafię...

— Żałuję, ale pani jest już kobietą wczorajszą a ponieważ my mamy tempo życia (panie kinooperatorze Kabiniak — wal pan prędzej do końca) więc zmusi panią do rozwiązania problemu prawo ciążenia...

— Nie chcę mieć dziecka. O tem niema mowy...

— Pani, bo będę bił głową o mur. Ja przecież nie o tem...

Chcę tylko zauważyć, że jesteś daleko bardziej z literatury aniżeli z życia. Kwestja „wyzwalającej się" kobiety — w tej czy w tamtej formie liczy sobie parę setek lat; współcześnei rodzisz się z „Nory" Ibsena i mówiąc dalej nomenklaturą jego dramatów, jesteś dzisiaj „dziką kaczką" — dziennikarską. Mamy wiele odczucia dla niezrozumianych przez nikogo głębin pani serca i pięknej duszy, ale myśmy już wyszli z „dziewic konsystorskich" i patrzymy na ten temat nie tyle z punktu erotycznego ile ze stanowiska socjologicznego i prawnego. Dlatego Pani jest wczorajsza a my nie mamy czasu, żyjemy 150 klm. na godzinę, przemy naprzód — więc: *Addio amore.* Żegnam. Wracaj do kasety filmowej i niechaj Jola Fuchsówna napisze pani fejleton i dokładnie pogrzebie.

I dama rozpłynęła się w celulozie.

— Panie kinooperatorze Kabiniak, walimy dalej! tempo, tempo... Szybciej. Pilnuj pan blendy. Następny obraz już!

— Jest!

— Pani, bądź pozdrowiona! Jeden rzut oka mówi wszystko.

— Twarzyczka — powiedzmy — wulgarna, na niej namalowany szminką i ołówkiem pretensjonalny portret inteligencji. Zrobione słabo. Pończoszki jedwabne, futro fałszywe. Mina pogardliwa na wszystko i wszystkich. Panienka z dancingu— tak?

— Owa — od dancingu nikt nie umarł.

— Przeciwnie — niejeden się nawet narodził. Pani rodzi się z głupstwa kina i jak dziewica w niemądrym filmie, tułająca się na ekranie bezdomnie w noc zaśnieżoną w jedwabnych pończochach — nosi je pani także. Nie jesteś bezdomna, ale często mieszkasz w suterenach, a za salon masz ulicę, gdzie obnosisz arogancję swej wątpliwej urody i taksujesz przechodzących mężczyzn...

— Wszyscy mężczyźni są oszukańce...

Au... au. Zaraz, zaraz wrócę do równowagi. Pani jesteś z tych, o których pisał wesoły warszawski literat, że „lubią jeść ptaka, co go podają z ogonem i pić wino, co bije do nosa". Dlatego wieczorem w dancingu szukasz grubych ryb i pierników. Czasem — niestety — chodzisz nawet na wyższe studja i nie przestając mówić „fajna frajda" mieszasz Freuda i Einsteina. I sądzisz, że kurom może być też argumentem Curie-Skłodowska. Można mieszać rzeczy, ale trzeba to robić do rzeczy. Nie mogę poświęcić ci dancingowa dziewico wiele czasu, bo tempo, tempo. Ale niemniej pani jest też wczorajsza, i znudziłaś się już. Dla kontrastu będziemy teraz uwielbiać młode osoby, które chodzą z mamą, na tennisa odprowadza je guwernantka, a rumienią się nietylko na widok bociana, ale nawet kaczora i indyka. Gdy dorosną chodzą same na kort lub uniwersytet, trudno je jednak spotkać, wybierają bowiem zwykle boczne ulice, a za teren spotkania z ludźmi mają — dom. Są od pani mądrzejsze o całe niebo, mają rasę i kulturę. Zapewniam, że 80 proc. współczesnej młodzieży marzy o nich, a nie mówi tego głośno przygnębiona tupetem pani. Wiejska kuchnia po restauracji ma swój smak. Żegnam damę, do stóp kłaniając się tricordem z piór.

— Grandziarz nie facet.

I poszła do dancnigu.

Uff... pozwólcie, że odetchnę.

— Panie Kabiniak skończone. Zamykamy budę. Pakuj pan kasety, bęben i film i idź pan do domu. Fajerant.

Od jutra ubieram się w chlamidę i podobnie jak Gandhi wodząc kozę na sznurku idę bosemi nogami na rynek. Panów upraszam kozy nie zaczepiać. Jak Djogenes świecąc latarnią szukać będę nowego człowieka. Dla łatwiejszego rozpoznania mnie redakcja właśnie zamieszcza fotografję. Obejdźcie się ze mną łagodnie przy spotkaniu, jestem bowiem niepoprawnym idealistą dnia jutrzejszego.

TEODOR STEKKER

CZŁOWIEK Z POTRÓJNYM NELSONEM.

Bawi obecnie w Krakowie, z racji zawodów ciężkoatletycznych tu się odbywających, p. Teodor Sztekker, jeżeli nie najcięższy, to najsilniejszy z pośród naszych zawodowych ciężkoatletów, a obecnie, po niedawnem zwycięstwie w Budapeszcie, zdobywca mistrzostwa świata w tej dziedzinie.

A więc już nie „byle kto". Aby uzyskać ten tytuł, musiał zwyciężyć kolejno 50 najsilniejszych ciężkich atletów całego świata, którzy zjechali na te zawody do Budapesztu, w walkach wcale nie na żarty. Między nimi byli tacy słynni siłacze, jak Saft, Siegfried, Scholz, Petersen, Estończyk, słynny zarówno w Europie, jak w Ameryce i wielu innych, wszystkich narodowości, ze wszystkich krajów świata.

P. Sztekker odwiedził naszą redakcję, jako stary nasz znajomy z kilkakrotnych już zawodów w walkach ciężkoatletycznych, jakie się odbywały w Krakowie różnemi laty. Jest on zjawiskiem ciekawem nietylko dlatego, że obecnie uznanym został za najsilniejszego z atletów tego rodzaju, ale także dlatego, że przy swej olbrzymiej sile jest typem siłacza o budowie nie spotwornionej, raczej normalnej i harmonijnie rozwiniętej. Zauważyć tu warto, że właśnie Polacy, którzy w jego osobie mają nie pierwszego światowego mistrza ciężkich siłaczy (że wspomnimy tu Cyganiewicza i Pytlasińskiego), dostarczają widać stale atletów takiego harmonijnego typu...

U nas zawodowi ciężkoatleci mieli dotąd szeroką popularność, ale przeważnie poza oficjalnemi kołami sportowemi. Teraz ten stosunek zaczyna się trochę zmieniać, jak świadczą fakty, o których mówił nam p. Sztekker. Powstają kluby sportowe, poświęcone ciężkiej atletyce, czysto amatorskie, które jednak chcą się oprzeć o szkołę i sztukę zawodowców tej dziedziny i zwracają się do zawodowców przedewszystkiem polskich.

Tak więc w Poznaniu istniejący już oddawna klub ciężkoatletyczny, noszący nazwę „Spalla", od nazwiska pewnego włoskiego słynnego ciężkoatlety, zapragnął obecnie przemienić swoją nazwę na klub im. Teodora Sztekkera i zwraca się o poparcie i protektorat do naszego siłacza.

Tak samo i w Krakowie krzątają się podobno zwolennicy walk ciężkoatletycznych około założenia specjalnego klubu, w którymby się szkolili pod kierunkiem zawodowców i p. Sztekker patronuje tym poczynaniom. Klub ten zresztą, po ukonstytuowaniu się, miałby zamiar przyłączyć się i utworzyć sekcję specjalną jednego z naszych większych klubów sportowych, który swoją wszechstronną działalnością obejmuje wszystkie dziedziny sportu. W p. Sztekkerze naturalnie wszystkie te objawy budzą entuzjazm.

Nic dziwnego — jest to atleta zamiłowany: „z urodzenia", gdyż trzeba się było urodzić z taką budową — który od zamiłowania idealnego bardzo szybko przeszedł pod naciskiem warunków materjalnych zewnętrznych do zawodowstwa, a bynajmniej tego nie żałuje, gdyż zawdzięcza mu swą karjerę i swą niezaprzeczoną sławę.

Zainteresowania jego w tej dziedzinie obejmują wszystkie godniejsze uwagi zjawiska i wszystkie nazwiska. O każdym siłaczu, zwłaszcza polskim, wie, pamięta i ma coś ciekawego do powiedzenia. Zakomunikował nam naprzykład wiadomość, niewątpliwie ciekawą dla szerszych sfer publiczności, że znany polski siłacz Pinecki, „wielkopolski olbrzym", który miał wszelkie szanse wybicia się na jedno z pierwszych miejsc w atletyce światowej, uległ niedawno wypadkowi, fatalnemu dla jego karjery: w walce ze słynnym siłaczem Smith-Westergaardem uległ złamaniu nogi, wobec czego musiał odłożyć swoje, zakontraktowane już, występy w Ameryce. Obecnie leczy się; może wrócić zupełnie do sił. Ale nieraz takie wypadki odbijają się na przyszłości atletów.

Naprzykład znany publiczności krakowskiej czarny olbrzym, murzyn Thomson, któremu właśnie p. Sztekker w czasie zapasów w Krakowie złamał żebro, od tej pory nie może już przyjść w zupełności do dawnej formy i dawnych sił i prawdopodobnie będzie musiał zakończyć karjerę siłacką.

Wypadki tego rodzaju dowodzą także, że w walkach ciężkoatletycznych nie zawsze wszystko tak jest „umówione", jak tego się często dowodzi: dosyć trudno znaleść człowieka, a zwłaszcza atletę, któryby się dobrowolnie „umówił" na złamanie żebra lub nogi...

Lecz podobne wypadki mimo to nie odstraszają ciężkich atletów od swego niebezpiecznego zawodu, nawet ich do niego nie zrażają. Nie zrażają przynajmniej — jak sam oświadcza — p. Sztekkera. Mógłby on już ze swego „zawodowstwa" się wycofać — ma przecież rozgłośne imię, zdobył dość pieniędzy, kupił sobie nawet mająteczek ziemski (Chawłowo) pod Warszawą, mógłby więc spocząć na laurach i na gotówce — ale oświadcza, że to zrobi dopiero po zdobyciu jeszcze jednego mistrzostwa świata. Czuje w sobie jeszcze pełnię sił, jest zaledwie w wieku 34 lat — i ochotę do dalszych walk. Nie chce się tak prędko wyrzekać sławy „człowieka o potrójnym nelsonie" — jak go nazywają po wydaniu przez niego książki pod tym tytułem.

„Dopiero, gdy zostanę jeszcze raz mistrzem świata, dam spokój dalszym walkom, osiądę na swym folwarku i oddam się pracy na roli. Będę mógł wtedy nawet coś zaoszczędzić na żywym inwentarzu — dodaje żartobliwie — sprzedać konie: sam się zaprzęgnę do pługa".

P. Sztekker — jak z tych faktów widać — jest człowiekiem nietylko pięści i mięśni, ale także lubiącym humor i nie usuwającym się od wysiłków umysłowych, imającym się trochę pióra. (Żoną jego, poślubioną przed kilku laty, jest — jak wiadomo — p. Wanda Melcer-Rutkowska, znana ze swych prac literackich — człowiek o potrójnym nelsonie dostał się w poczwórny nelson).

Dajemy tu tedy jego sylwetkę, jako zjawiska w każdym razie niecodziennego siłacza, który z zamiłowaniem i przekonaniem walczy o równouprawnienie w opinji swego atletycznego zawodu... **(n)**

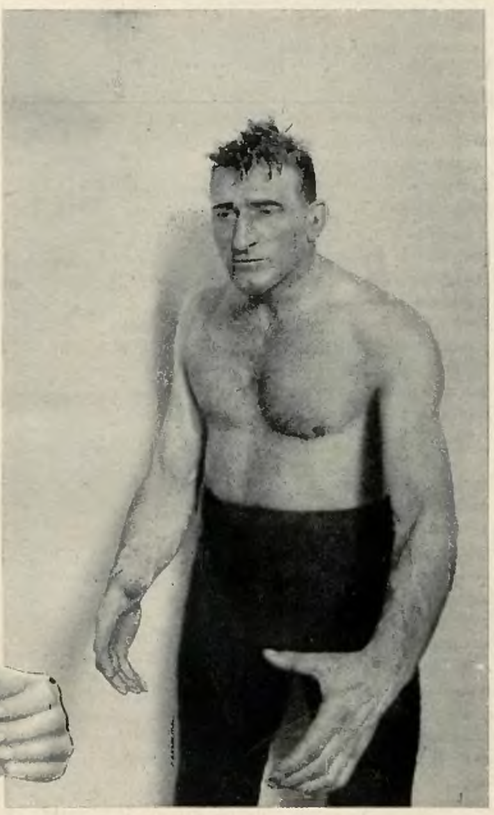


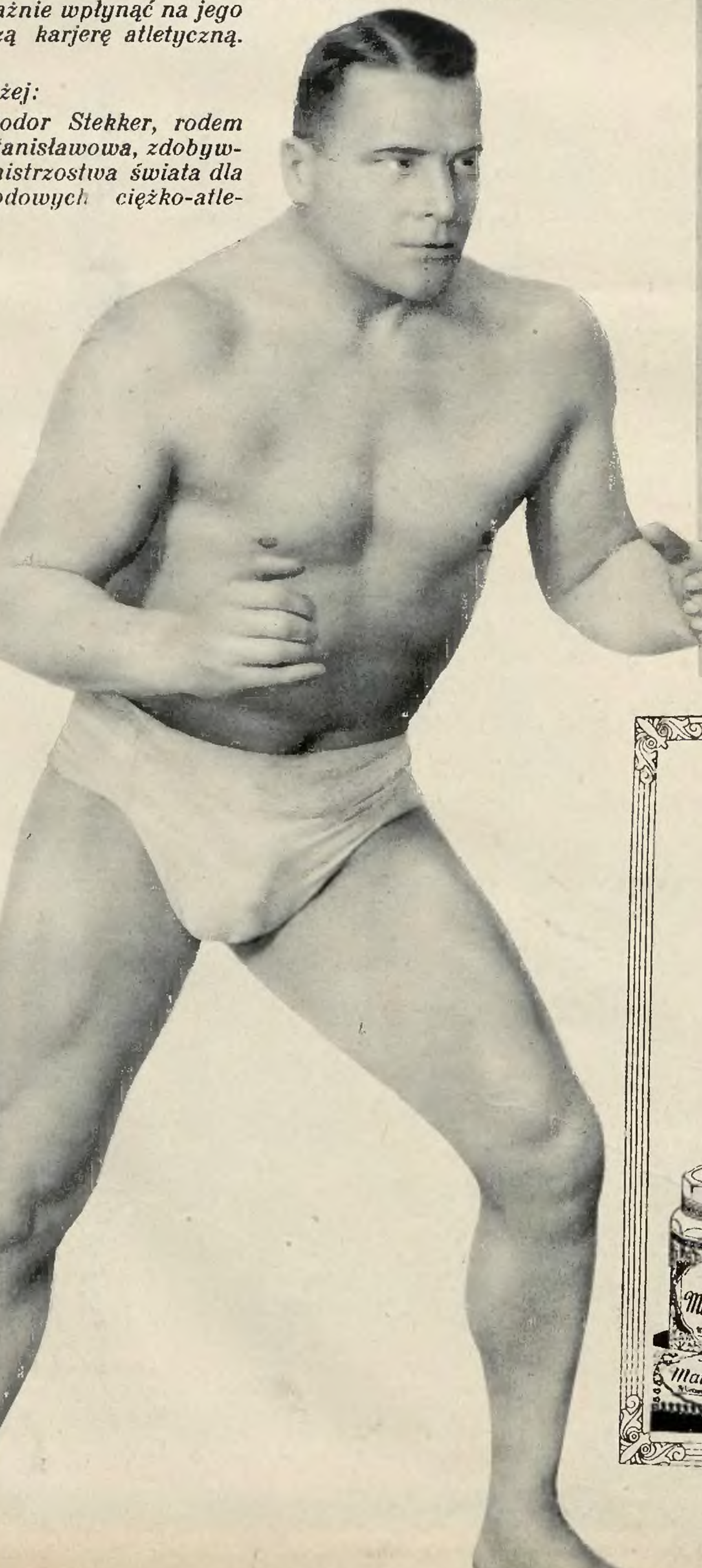
Na prawo:

Leon Pinecki, Wielkopolanin, specjalista w podwójnych nelsonach, niedawno złamał nogę, co może poważnie wpłynąć na jego dalszą karjerę atletyczną.

Poniżej:

Teodor Stekker, rodem ze Stanisławowa, zdobywca mistrzostwa świata dla zawodowych ciężko-atletów.







„TRADER HORN".

Realizacja „Trader Horn", postanowiona w zimie 1929 r. przez kierowników wytwórni Metro-Goldwyn, została powierzona W. S. Van Dyke, twórcy „Białych cieni" i „Pieśni pogańskiej".

Po raz pierwszy przystąpiono do wykonania w samej Afryce filmu dźwiękowego i mówionego. (W tem miejscu wypada zwrócić uwagę, że obraz **„Afryka mówi"** jest mimo swego zwodniczego tytułu — najzwyklejszym niemym filmem, do którego dorobiono później synchronizację w Berlinie).

Najprzód wysłano do Mombassa (Afryka angielska wschodnia) awangardę, złożoną z administratora i trzech techników z zadaniem poczynienia przygotowań do późniejszego wyładowania ludzi i materjału.

W kilka tygodni później, w kwietniu 1929, odjechał Van Dyke w towarzystwie 14 osób (trzech artystów, tj. Harry Careya, Edwiny Booth i Duncana Renaldo, trzech operatorów, dwóch techników aparatury dźwiękowej, dwóch elektromonterów, sekretarki ze scenarjuszem, 1 chemika, 1 cieśli i strzelca). Zabrał on ze sobą około 90 ton materjału, sama grupa elektrotechniczna ważyła 10 ton). Droga prowadziła z Hollywood przez New York, Paryż i Genuę, skąd nastąpił odjazd do Mombassy. Z Mombassy cała grupa wyjechała do Nairobi, odległego o 350 kilometrów.

W Nairobi urządzono laboratorjum do wywoływania filmów. Van Dyke, pozostawiwszy tam część ekspedycji — wyjechał w towarzystwie 5 towarzyszy na wywiad, w celu poszukiwania najbardziej ciekawych dla zdjęć zakątków.

Przez 15 dni mała ta grupka przechodziła dżungle we wszystkich kierunkach, mając jako bazę operacyjną port Kampala.

Oznaczywszy dokładnie miejsca, w których znajdowały się istotne wartości dla filmu, t. j. krokodyle, słonie, nosorożce, plemię karłów i czarny czarodziej — skierowało się sześciu śmiałków do jeziora Alberta i do belgijskiego Konga.

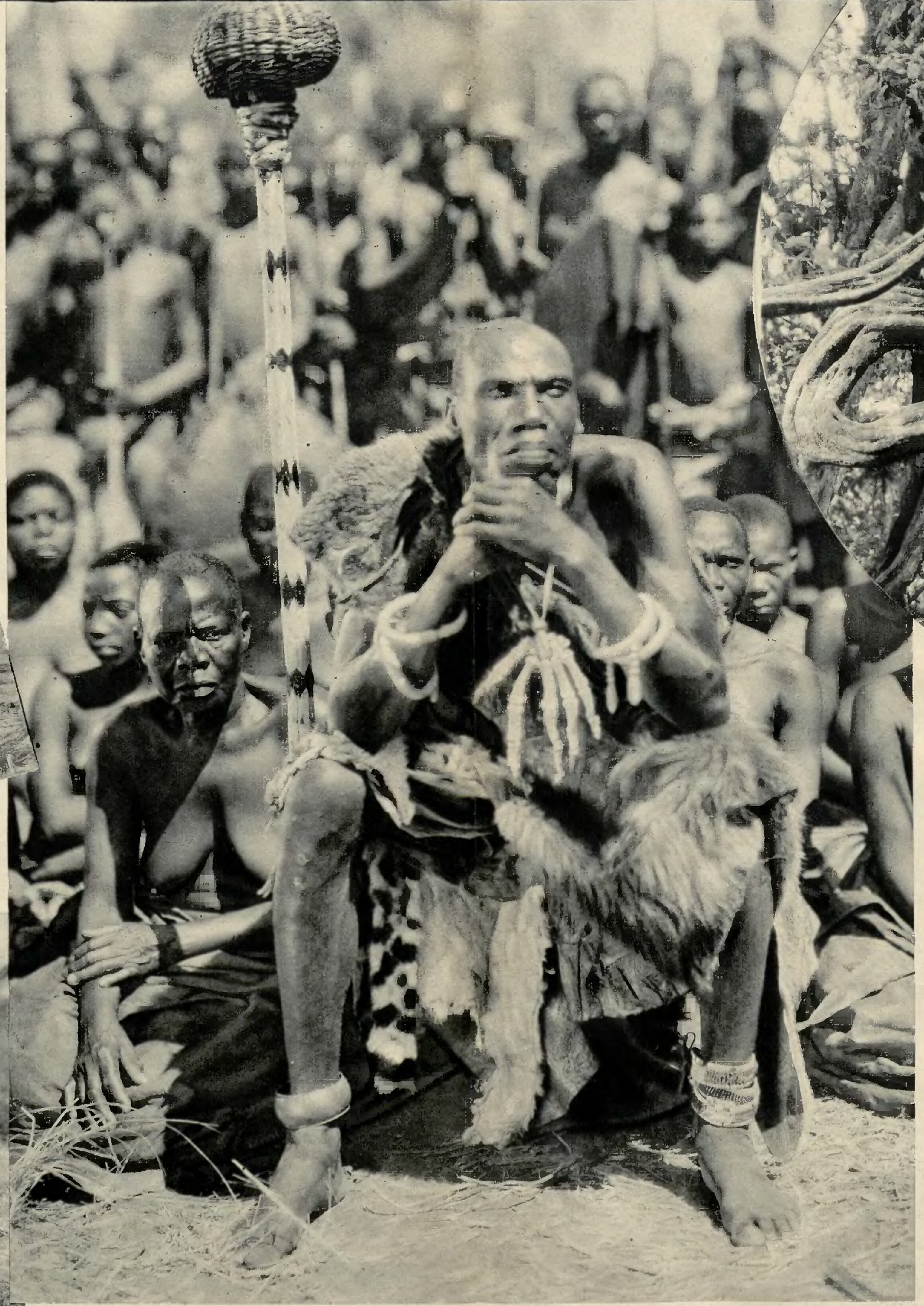
Zbiórka całej ekspedycji i materjałów została naznaczona w Masindi, gdzie wszyscy członkowie wyprawy przybyli bez trudu, mimo tego, iż 10-tonowe wozy musiały przebyć szereg mostów, których oficjalna nośność nie przekraczała 5 ton.



Od lewej: Duncan Renaldo, Edwina Booth, Harry Carey i tłumacz Kiswaluli.

Fot. „M. G. M".





Naczelnik plemienia „Massai" w otoczeniu żon i wojowników.

Na lewo: Moment odszukania przez zabłąkanych podróżników wody na pustyni (Edwina Booth i Renaldo).

Fot. „M. G. M".



W kole: Edwina Booth wśród fantastycznych narośli egzotycznego drzewa.

Fot. „M. G. M".

Pierwsze zdjęcia widoków i dźwięków zaczęły się w czerwcu 1929 nad brzegami jeziora Alberta w Panyamur, skąd cała grupa udała się na pokład okrętu „Samuel Barker" i dwóch łodzi, dostosowanych specjalnie dla celów wyprawy.

Tu wynajął Van Dyke całe plemię murzyńskie Massai i zbudował obóz. W przeciągu czterech dni wykończono tuzin chat z liści i wyschłego błota, z których później powstała wioska murzyńska i bazar „Trader Horn".

W ciągu następnych tygodni nakręcano wszystkie sceny, które mogły być nad brzegami jezior zrealizowane. Później oczekiwano na specjalne zezwolenie udania się w głąb dżungli belgijskiej, celem nakręcania tam scen z dzikiemi zwierzętami w okolicach poprzednio już wybranych.

Ta cała partja podróży była często trudna i niebezpieczna; przedewszystkiem ze względu na udział kobiety, tj. Edwiny Booth, która musiała z odkrytą głową przebywać na strasznem słońcu afrykańskiem.

Dwukrotnie stała się ona ofiarą udaru słonecznego. Wiele też cierpiała przez malarję.

Kobiety tamtejsze, oczarowane jej pięknością i długiemi, jasnemi włosami, otaczały ją za każdym razem, gdy się szminkowała i naśladowały jej gesty z widoczną przyjemnością.

Partner Edwiny, Duncan Renaldo potrafił zdobyć przyjaźń najdzikszych plemion czarnego kontynentu, okazując im szczerą i prawdziwą sympatję. Dzicy ludzie Afryki mają nadzwyczajny węch, jeśli chodzi o ustalenie prawdziwych uczuć, jakie żywią ludzie obcy. Renaldo poznał tych ludzi tak dobrze i był przez nich tak lubianym, że jedno z najdzikszych plemion, tajemnicze Massai, postanowiło przyjąć go jako swego członka.

Plemię Massai wedle twierdzenia etnologów jest jednem z „dziesięciu zaginionych", o których wspomina Biblja. Praktykuje ono ofiary ludzkie, chrzest krwi itp. Są to ludzie nadzwyczaj dzielni i żaden młodzieniec nie może się ożenić, zanim nie zabił własnoręcznie lwa lub nieprzyjaciela w bitwie. Massajowie uważają, że lew nie może się oprzeć człowiekowi, który niczego się nie boi. Ufny w samego siebie, zbliża się murzyn do zwierzęcia tak, że je prawie dotyka i następnie silnym ciosem wbija mu ostrze swej lancy w łopatki. Od niepamiętnych czasów nie zabili oni zwierzęcia nieszkodliwego, chociaż dzikiego. Czasem jedzą mięso wołowe, lecz nigdy żadnych jarzyn — żyją przeważnie mlekiem i krwią. Piją krew wprost z gardła daniela, którego ranią wprzód sprytnie strzałą z łuku. Zabrawszy pewną ilość krwi, zamykają ranę i przez jakiś czas zostawiają zwierzę w spokoju.

Używanie krajowców, jako statystów było bardzo utrudnionem z powodu różnicy dialektów, jakiemi mówiły poszczególne plemiona: Kenia, Ohganda, Swahili, Matabele i inne. Po dłuższym dopiero czasie wyprawa zdołała skompletować potrzebnych tłumaczy, zapomocą których można było poszczególne plemiona angażować do zdjęć. Zwykle wynajmowano całą wioskę z wszystkiemi jej mieszkańcami. Ile było przy tem zachodu — niechaj świadczy choćby trud przekonania krajowców, że do filmu trudno grać nago. Dwóch tubylców, Riano i Mutia, których Van Dyke zabrał ze sobą do Ameryki, nie mieli nigdy nic na sobie, aż do chwili, gdy znaleźli się na parowcu, zdążającym do Nowego Jorku. Na widok drapaczy chmur, kolei żelaznych i wszystkich innych zdobyczy współczesnej techniki i cywilizacji ogarnęło ich dosłownie przerażenie.

Z początkiem 1930 roku wyprawa przybyła z powrotem do Hollywood. Tu po kilkutygodniowej pracy nad złożeniem filmu nakręcanego w Afryce — otrzymano obraz, który jednakowoż miał pewne niedomagania tak pod względem ciągłości zdjęć, jakoteż i dźwięków. Nie trzeba przytem zapominać, że w chwili wyjazdu ekspedycji, w kwietniu 1929 r., rejestrowanie dźwięków na taśmie filmowej nie było jeszcze udoskonalone.

Dlatego przeważna część dźwięków i głosów dzikich zwierząt została wykonana w studjo.

Jak ta praca wyglądała i jakie dała rezultaty opowiemy innym razem, uzupełniając to opowiadanie szeregiem niepodanych w niniejszym artykule niezwykle interesujących epizodów z tej największej bodaj ekspedycji filmowej. *J. Leo.*

W. F. STERLING.

U EMILA.

Byłem wczoraj u Emilów, ach, co to za rozkoszni ludzie... Ale powiem od początku. Emil zbudował sobie willę pod Warszawą, (to bogaty chłop!), ostatni wyraz nowoczesności, coś, co w Paryżu dopiero przewidują... Nie mogąc się w żaden sposób doczekać oficjalnego otwarcia tego nowego locum, t. zn. zapowiedzianej hucznej biby, pojchałem tam w niedzielę bez zaproszenia.

Domek ładny, aż miło. Wchodzę. Nikt mnie nie wita, pokoje puste jeszcze, ściany gołe... Dochodzę tak do końca i spotykam gospodarzy, cieszymy się, pytam co słychać...

— Ano — powiada Emil — owszem, dobrze, ale — no, jak tu już i tak jesteś, to się dowiedz: mamy tu, widzisz, kłopot z kuchnią. Bo ona nie chce wyjść.

— Tak dokładnie to jeszcze nie rozumiem — odpowiadam zdumiony.

— Ach, dzieciaku, przecież kuchnia jest ukryta w ścianie, żeby można było użyć pokoju na co innego, kiedy się nie gotuje. Piękna, elektryczna kuchnia, o, tu, w tej ścianie.

— Właściwie — wtrąciła dobrotliwie pani Emilowa — zaczęło się od tego, że nasza służąca ciągnęła ją tak długo, aż wkońcu wyszła.

— Kuchnia?

— Nie, służąca. I jeszcze nie wróciła.

— Co go może obchodzić nasza służąca? — strofuje żonę Emil. — Kuchnia powinna wyjść po przyciśnięciu tego guzika, o, spójrz, mój drogi, ale ona się jeszcze ani razu nie pokazała od czasu, kiedyśmy się tu wprowadzili. Przedtem, próbowaliśmy nieraz z architektem, wychodziła bardzo chętnie. Czuję, że żona moja, chociaż mi tego nie mówi, nie wierzy wcale w jej istnienie. Mój architekt wyjechał, to wszystko sprowadzono z zagranicy. Może tybyś poradził coś na to?

— Skąd ja się mam znać na tem? Poradź się inżyniera, czy elektrotechnika...

— Ależ, rozumiesz — mówi Emil — że to jest urządzenie zupełnie nowe i tak skomplikowane, że monter zniszczy mi je z kretesem. Tu trzeba intuicji, natchnienia.

— Znów się zaczyna — powiedziała nagle pani Emilowa żałośnie. Z jakiegoś nieokreślonego miejsca dawał się słyszeć niewyraźny jęk.

— Gdzie niania? Gdzie Zosia? — krzyknął Emil i puścił się pędem przez pokoje. Pobiegliśmy za nim. Osłuchiwał ściany, wkońcu przytknął ucho do podłogi.

— Tu, pod stołem — szepnął. Podbiegł do guzików, widniejących na ścianie, przycisnął jeden i nagle ze środka podłogi wysunął się na szerokość dłoni — blat stołu. Głos z dołu stał się wyraźny. Mówił:

— Mam już tego dosyć! — poczem następował szereg przekleństw.

— Niech niania poczeka chwilę — rzekł łagodnie Emil i zwracając się do mnie, dodał:

— Stół jest zanadto obciążony. Sama elektryczność nie poradzi, musimy pomóc.

Emilowa naciskała guzik, my zaś dźwigaliśmy z najwyższym wysiłkiem stół i nianię, pochlipującą:

— Dawałam Zosi kaszkę, łyżeczka spadła pod stół, chciałam podnieść i... wjechałam. — Dodała kilka nazwisk i wkońcu: — Dosyć mam już tego miejsca!

Stół wyciągnęliśmy, niania wygramoliła się z pod niego i opuściła pokój, mocno tupiąc nogami. Tupała tak mocno, że, zapewne od tego wstrząsu, ze ściany wynikł nagle fotel, który, po chwili namysłu, majestatycznie rossunął się i zamienił w sofę. Nie jestem dzieckiem, ale przyznam się, że ten niespodziany exodus fotelu ze ściany wywołał na mych plecach niemiły dreszczyk niesamowitości.

— Cholera! — rzekł Emil i brutalnie usiadł na sofie.

— Emilku! — jęknęła żona. — Jak ty się wyrażasz?

— Bo dlaczego to ścierwo wyłazi ze ściany, cokolwiek się dzieje w pokoju?

— Czy i wszystkie pozostałe meble są ukryte w ścianach? — spytałem żartem, aby rozweselić gospodarzy.

— Oczywiście! — odparł Emil z godnością. — Mebel, gdy nie jest używany, nie powinien zajmować miejsca w pokoju i odbierać powietrza.

— Mój mąż jest bardzo zdolny — dodała pani Emilowa, patrząc nań z uwielbieniem. — Potrafi doskonale wydobyć prawie każdy mebel. Tylko wczoraj nie mógł się doszukać pianina; trzy razy próbował i zawsze wychodziły jakieś schody. Jabym sobie nie dała sama rady...

— To nie były żadne schody — przerwał Emil gniewnie. — Ileż razy trzeba ci powtarzać, że jest to miejsce na kwietnik. Urządzę tam żardiniery. Przycisnąłem poprostu fałszywy guzik.

Z ubocznego pokoju dobiegł nas potężny huk.

— O, już Zosia bawi się łóżkami! — krzyknął wszechwiedzący Emil i chyżo pospieszył w zagrożone miejsce.

Weszliśmy na plac boju. Mała Zosia igrała guzikami, zachwycona łomotem, z jakim łóżka wypadały ze ściany i uderzały o podłogę.



— Mechanizm ten nie jest jeszcze w zupełnym porządku — usprawiedliwiał się gospodarz, a żona zaczęła biadać:

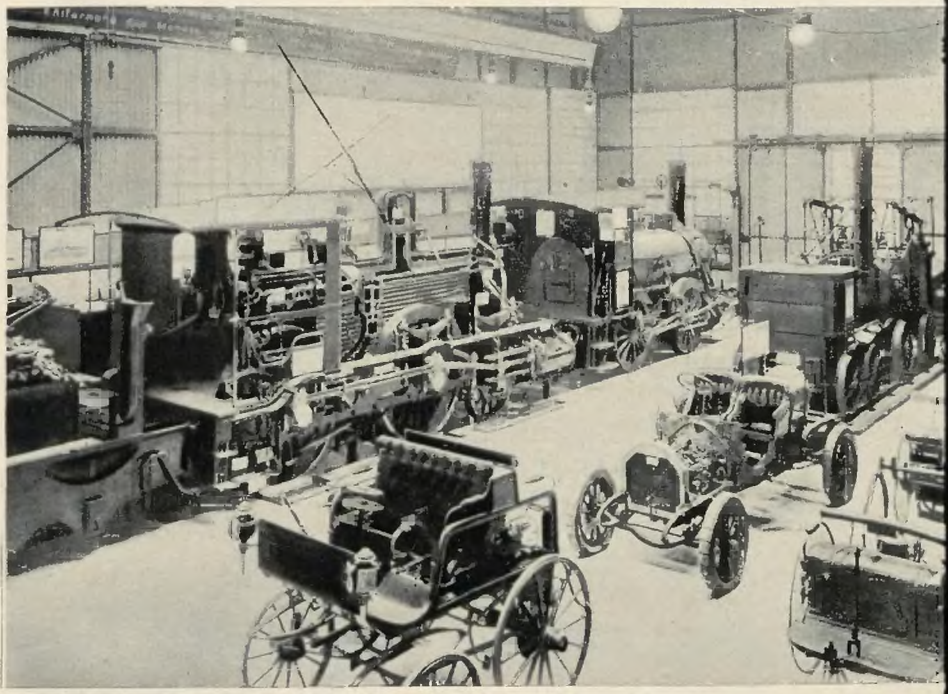
— Jeśli nie obciążyć łóżek w nogach jakims ciężarem, to czasem same się w nocy unoszą; raz właśnie...

— Dajże mu spokój! — przerwał Emil. — Przecież nie będziesz mu zawracać głowy kłopotami naszej sypialni!

Ale spostrzegam, że i ja miałem opowiedzieć o Emilu i jego żonie, a nie o jakichś szczegółach jego umeblowania. Niestety, zagalopowałem się już za daleko. Dodam tylko, że zjedliśmy świetną kolację, ugotowaną na „Primusie", że toczyliśmy przemiłą rozmowę do późna przy blasku świecy, bo elektryczność właśnie... no, ale nie plotkujmy już więcej.

Spałem na sofie. To jest na sofie do trzeciej, bo potem zsunęła się znów w kształt fotela i tak już głucha na wszelkie moje poczynania, pozostała. Swoją drogą ta sofa, to rzeczywiście — ścierwo!

ROZMAITOŚCI.



WARTOŚCIOWE GRUCHOTY. Osobliwością „Muzeum niemieckiego“ w Monachjum jest oddział środków transportowych (na zdjęciu), w którym mieszczą się stare lokomotywy i auta. Patrząc na groteskowe kształty tych gruchotów poprostu wierzyć się nie chce, że stanowiły one niegdyś przedmiot pożądań ze strony kupujących, dziś zaś budzą tylko uśmiech politowania. Kiedy w roku ubiegłym bawił w Monachjum Ford, stare te auta zainteresowały go ogromnie, tak, że gotów był za nie zapłacić każdą cenę. Niestety życzeniu jego nie mogło stać się zadość, ponieważ statut muzeum zakazuje podobnych transakcyj. Atlantic-Photo.



URODZIWA ZULUSKA. Zulusi należą do plemienia Bantu, zamieszkującego unję południowej Afryki. Odznaczają się oni wielką siłą i wysokim wzrostem. Trudnią się chowem bydła. Ostatnio ponieśli oni olbrzymie szkody, wskutek kilkomiesięcznej posuchy, która wypaliła im trawy na stepach, wskutek czego bydło poginęło z głodu. Zdjęcie przedstawia Zuluskę, miszącą ciasto. The New York Times-Berlin.



LATAJĄCE RYBY. Z siatką na motyle wybierają się chłopcy na łąki. W Kalifornji łapią miljonerki odpowiednio przerobionemi siatkami ryby latające. Czatują na nie w łodziach na otwartem morzu i starają się je dosięgnąć w chwili, gdy te szybują nad wodą na skrzydlatych płetwach.

Latające ryby zamieszkują morza ciepłych stref; spotkać można je już na morzu Śródziemnem. We wodzie pędzą życie dość tajemnicze, tak że niewiele wiadomo o tem, czem się żywią i jak się mnożą. Natomiast każdy podróżny oglądać je może w tych okolicach z pokładu statku. Widać je pod powierzchnią wody mknące jak torpedy z płetwami przylegającemi ściśle do wydłużonego tułowia. Ruchami ogona nadają ciału coraz większą chyżość, równocześnie skierowują je ku górze. Wreszcie wylatują stromym łukiem w powietrze na wysokość 1—2 metrów. Wtedy rozpinają olbrzymie płetwy piersiowe nakształt skrzydeł i suną na nich lotem ślizgowym 20—150 metrów, zależnie od kierunku wiatru panującego w danej chwili.

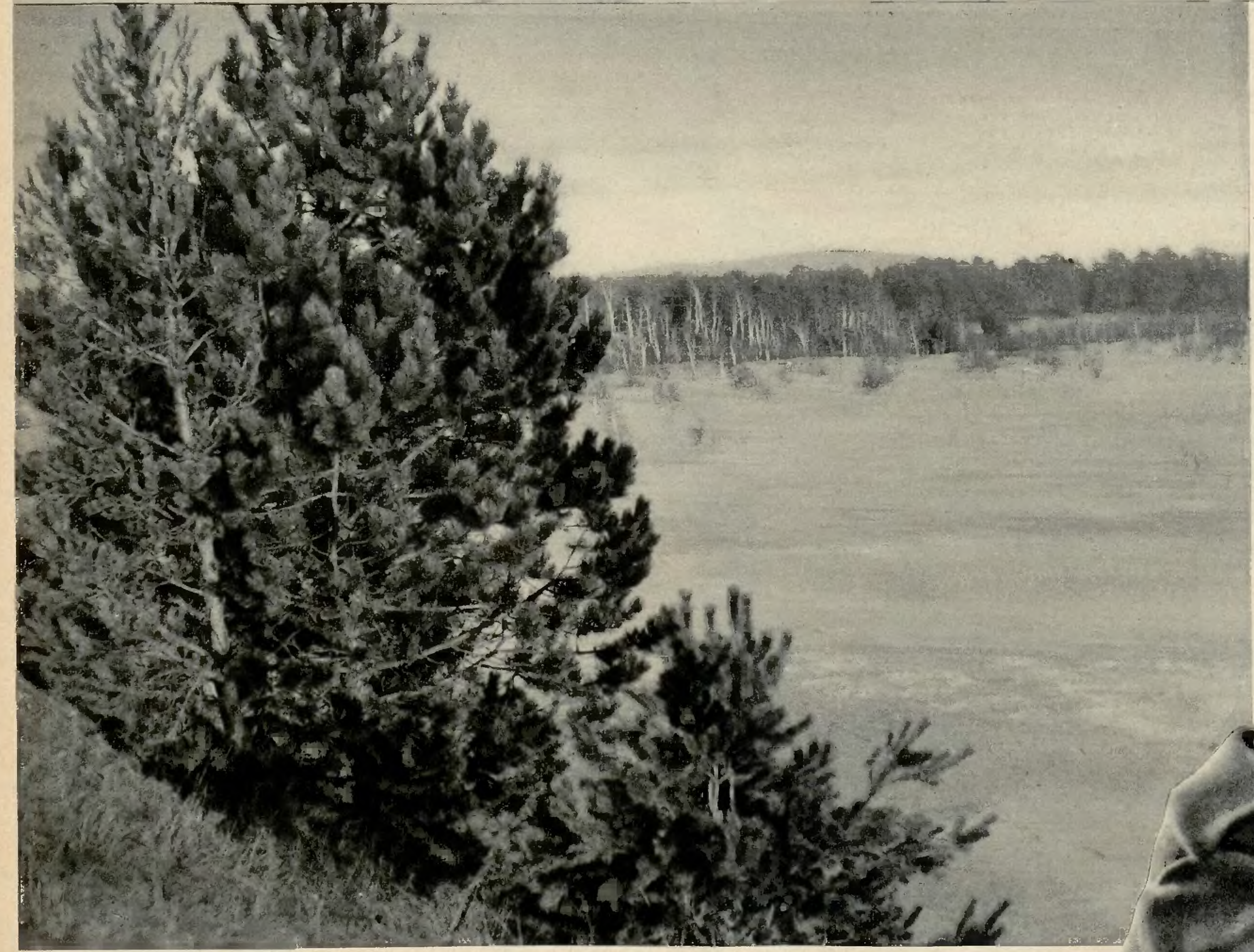
WYSPA TENERYFA. Jest ona największą w archipelagu kanaryjskim. Głównym jej portem jest Santa Cruz, a osobliwością słynny wulkan Pico de Teyde (3.730 m.), najwyższe wzniesienie wszystkich wysp afrykańskich. Należy ona do Hiszpanji, a ponieważ odznacza się bardzo łagodnym klimatem, przeto jest chętnie odwiedzana przez turystów, spragnionych rekonwalescencji w łagodnym klimacie morskim. — Zdjęcie przedstawia charakterystyczne domy willowe na wyspie Teneryfie. Lisi Goldschmidt, Wien.







PUSTYNIA BŁĘDOWSKA.



Ogólny widok pustyni Błędowskiej. Zajmuje ona 4.000 ha lotnych piasków i leży na północny-zachód od Olkusza, po obu stronach Białej Przemszy. — W dnie upalne można tu obserwować zjawisko fata morgana. Widać mianowicie płynącą rzekę, otoczoną gajami nad morzem piasków.

Na lewo:

Fragment puszczy Błędowskiej. Otaczają ją niezmierzone lasy sosnowe i świerkowe.

Na prawo:

Rzeka Przemsza przepływająca przez puszczę Błędowską. Zdjęcie z okolic Kluczy.

Poniżej:

Typy ludowe z okolic puszczy Błędowskiej.

Wszystkie zdjęcia dokonane przez specjalnych wysłanników AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".





W czas skwarnego i upalnego lata ujrzałem ją poraz pierwszy. Żar rozpalonego piasku bił od niej, dusił i tłumił oddech. Nogi grzęzły w sypkim piachu a oko daremnie szukało oparcia, przemierzając matowo żółtą przestrzeń. Daleko po brzegach czernił się las, ujmując w łagodny owal afrykański krajobraz pustyni Błędowskiej. Ku wschodowi powierzchnia lekko i stopniowo się dźwigała zamknięta od Klucz jednym z progów wyżyny Małopolskiej, wznoczącym się do wysokości 380 m. n. p. m.

Cały ten obszar przecięty wzdłuż dłuższej osi doliną Białej Przemszy zawdzięcza swój wygląd dzisiejszy wodom, spływającym ongiś z przed cofającego się lodowca. One to wyniosły zwały piachów na jego przedpole, rzucając je na igraszkę wichrom. Odwiecznie przewalające się od zachodu masy powietrza przerzuciły zwały piachu na wschodnią stronę pustyni, podnosząc wyraźnie jej naziom, a cyzelując powierzchnię, namarszczały ją w różno-kierunkowe faliste nabrzmienia.

Gruba powłoka piaszczysta nie sprzyja równomiernemu rozłożeniu wilgoci w ziemi. Suszy gruntu i przewiewaniu piasku przypisać należy brak roślinności. Las — o ile pojawia się zwarcie — stawia czoło triumfalnemu pochodowi piachów, ale nie na długo. Bezduszna masa elementarna gnana siłą bez litości, dławi życie. W rozpaczliwej walce — krok za krokiem — zdobywa pustynia na przestrzeni, krok za krokiem cofa się las, uchodzi życie. Bo o tę właśnie stawkę odwieczna toczy się gra! Mizerne trawy, ledwie zielone, pożółkłe prawie z posuchy i spiekoty, kurczowo trzymają się ziemi. One jedne — gdyby wody miały poddostatkiem — zdolne są skuteczny stawić opór. Ale wody mało a napór piachu ogromny i wątła linja obronna coraz to w innem pęka miejscu. A jednak — *contra spene sperans* — walczą, coraz nowe kępki angażują się w boju. Wątłe i chwiejne trawy z masami wichrem pędzonego piachu.

Środkiem pustyni dolną 8 do 12 m. głęboko, przesącza mętne i brudne wody Biała Przemsza, strojna w las galerjowy. Prawie oaza w oceanie pustyni.

Istnienie swe zawdzięcza przeżarciu powłoki piasków i opuszczeniu dna do poziomu wody zaskórnej. Wskazuje na to i zabagnienie dna dolinnego. Zasypywana piachami i spychana w kierunku w którym podąża — Przemsza Biała przecież wyrywa się z Polskiej Sahary i Wiśle wody oddaje.

A tymczasem nowe łożyskiem biegną wody i nowe masy piasku nieprzerwanie walą się w dolinę. I nowy napór wiatru z brzaskiem nowego dnia, nowe i nowe tumany piasku miecie.

I tak bez końca.... a na wichrze jeno szumi las w oddali i źdźbła traw się kołyszą!

Wiktor Ormicki (Kraków).

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



W sezonie połowu śledzi. Największem w Europie łowiskiem śledzi jest obok wybrzeży Anglji i Norwegji morze Północne, dokąd udają się na połów flotyle rybackie wszystkich ważniejszych państw europejskich a głównie niemieckie, holenderskie, angielskie i norweskie. Tego roku jednak panują na morzu Północnem gwałtowne burze, które utrudniają połów. — Zdjęcie przedstawia statki rybackie miotane burzą.

Atlantic — Photo.



Powrót ekspedycji polarnej. W tych dniach powrócili do Kopenhagi członkowie ekspedycji polarnej Wegenera i Watkinsa, które bawiły w Grenlandji w celach naukowych. Zdjęcie przedstawia uczestników wyprawy na pokładzie okrętu „Hans Egede“ w porcie w Kopenhadze, gdzie zostali uroczyście powitani przez premjera duńskiego Stauninga.

Atlantic — Photo



Święto radości w Rzymie. Fotografja przedstawia Mussoliniego, odbywającego na koniu przegląd armji w trzynastą rocznicę zawieszenia broni. — Na pierwszym planie kompanja lekkich tanków.

Keystone – Paris.





Z frontu mandżurskiego. Pomimo interwencji Ligi Narodów Japończycy ani myślą o opuszczeniu Mandżurji i zaniechaniu działań wojennych, i w tym celu wykorzystują prądy separatystyczne, istniejące w tym kraju, udając obrońców uciśnionych Mandżurów, którzy rzekomo chcą niepodległości i oderwania się od Chin. Podobno dla koncepcji tej zdołali Japończycy pozyskać ostatniego cesarza chińskiego Puji, który dotąd żył w odosobnieniu, obecnie zaś udał się do Mukdenu, aby w imieniu dynastji mandżurskiej upomnieć się o koronę. Zdjęcie na lewo przedstawia walki japońsko-chińskie pod Cicikar. — W kole pretendenta do tronu mandżurskiego ostatniego cesarza chińskiego Puji.

jedna suknia — dwie tualety.



Kobiety, mające stanowisko i pracę zawodową, z pewnem lekceważeniem patrzą na gosposię, której działalność zamyka się w ramach domowego ogniska. Myślą, że panie te nic nie robią. Tak jednak nie jest. Kobieta, która chce być wzorową panią domu, prowadzącą dobrze i oszczędnie gospodarstwo — ma sporo do czynienia. Jeżeli do tego potrafi jeszcze obmyślać i szyć swoje suknie — to czas ma zapełniony.

Kwestja ubrania staje się dziś dla kobiety ważnem zagadnieniem. Stanowisko męża, podtrzymywanie stosunków, wymaga od niej bywania i eleganckiego wyglądu. O wziętości adwokata lub lekarza często się sądzi... po tualetach jego żony. Jest to pewnego rodzaju reklama jemu czyniona.

A reklama w interesach jest potrzebną. Jeden z przemysłowców automobilowych przegrywa co roku w Biarritz około miljona franków, tylko po to, żeby mówiono, że go widocznie na to stać. Ta opinja dopomagać ma w sprzedaży jego automobili. Bogaci przemysłowcy, chcący, żeby fama głosiła, że doskonale robią interesy, pokazują się w najdroższych restauracjach z tak zwaną „soupeuse" (panią zjadającą kolację). Jest to naturalnie bardzo szykowna i piękna dama, której rola ogranicza się ściśle do zjedzenia wystawnej kolacji. To robi efekt i reklamę firmie.

Widzimy więc, że żona musi strojami swemi stwierdzać zawodowe powodzenie męża. A jakże temu podołać, kiedy czasy są ciężkie i budżet się kurczy z dniem każdym.

Krawieckie firmy, czujne na te domowe troski naszych pań, wpadły na doskonały pomysł dodawania do wieczorowej sukni bolerka lub pelerynki z tego samego materjału co suknia. Dzięki tej zarzutce, suknia zmienia zupełnie swój pierwotny wygląd i służyć może na inne zebrania i wizyty. A więc suknia bez owego bolerka lub pelerynki, pozbawiona rękawów i odpowiednio wycięta, jest suknią wieczorową. Przykryta tym krótkim żakiecikiem, staje się zwykłą suknią wizytową, odpowiednią na popołudniowe herbatki i mniejsze przyjęcia.

Naturalnie, długość takiej sukni powinna być normalna, 10—12 cm. od ziemi zupełnie wystarczy.

Narzutki mają troszeczkę styl i wygląd stroików, noszonych przez nasze babki, ale to nas nie powinno zrażać. Mają one wiele kobiecego uroku i są ostatnią nowością mody, która powraca do dawnych wzorów zupełnie otwarcie, zapożyczając od nich to, co w nich było ładnego i praktycznego. Biorąc zaś przekazane nam przez przeszłość elementy stroju, wyobraźnia artystów mody i „modelistów" kombinuje je z dzisiejszemi wymaganiami estetycznemi i zastosowuje do współczesnych potrzeb.

Materjały radzimy jedwabne, mięsiste i gładkie: crêpe Georgette, crêpe de Chine, crêpe-satin i crêpe Marocain.

Co do kolorów, wybierajmy je w odcieniach czerwonych, zielonych, szafirowych. Modne są też barwy jasno-żółte, jak kolor „słomy" (paille) i cytrynowy. Kolor czarny byłby jednak dla tych sukien „transformacyjnych" najbardziej elegancki i najpraktyczniejszy.

Zwracamy uwagę, że „riuszki", nadające dużo kobiecego wdzięku, powracają do łask naszych elegantek i będą w tym roku bardzo noszone.

Rose de Paris.

Poniżej: Bardzo strojna suknia wizytowa z crepe Georgette. Spódnica przybrana jest płaskiemi wolantami, które tworzą coś w rodzaju baskiny. Pelerynka narzucona na ramiona, zwana „cape", przybrana jest podobnie jak spódniczka, szerokim wolantem, nadającym jej młody i elegancki wygląd. Suknia ta bez pelerynki jest tualetą, którą śmiało można wziąć do teatru i na tańcujący wieczorek.



Wytworna sukienka z czarnej crepe Marocain. Bolerko kloszowe, dostosowane do wolantów spodniczki. Biała bluza z crepe de Chine'y, ażurowana mereżkami i przybrana riuszką wokół kołnierzyka i manszetów. Płaszcz z czarnej wełny z gronostajowym kołnierzem.



Suknia popołudniowa z crepe Marocain. Bolerko ozdobione jest riuszkami na brzegach i u rękawów, rozszerzających się wachlarzowo. Także riuszka tworzy u łokcia rodzaj bransolety. Spódniczka rozszerza się u dołu. Może być skrojona kloszowo, lub rozszerzona wszytemi trójkątami. Brzeg jej kończy riuszka, odpowiadająca ozdobie bolerka. Jeżeli zdejmiemy bolerko, będziemy miały, jak to załączony rysunek wskazuje, elegancką sukienkę wieczorową.





Z listopadowej wędrówki po Podhalu.

Po raz dziesiąty już chyba spadł młody śnieg w górach, ale zdążył już stopnieć i idący na Halę Gąsienicową narciarze z politowaniem machają kijkami nad osobą, która naprzekór wiatronogim deskom woli chodzić po zmarzłem błocie. Ale ja, wdziawszy wysokie, solidne buty, drwię sobie z wybojów drogi i na ten raz bez zazdrości myślę o Gąsienicowej. Jednak ci narciarze do szczętu zepsuli jesienny, łysy krajobraz plamami swych niemożliwych swetrów. Widać już zresztą i doskonale ubranych „narciarzy od niedzieli“, należy to bowiem do niesłychanego szyku zjawić się na dancingu narciarskim lub w górskiem schronisku, jeszcze nim rozpoczął się właściwy sezon.

Z przyjemnością więc opuszczam wyświeżone sylwetki, udając się na Gubałówkę. Na szczycie myślę z boleścią, coby tu z tego wymarzonego terenu zrobiła np. Szwajcarja, umiejąca, jak żadne inne państwo na świecie, organizować swój ruch uzdrowiskowo-turystyczny. Stanęłyby tutaj wspaniałe hotele (lepiej na to wydać pieniądze, niż realizować pokutujące jeszcze tu i ówdzie gadki o kolejce ceperskiej na Świnnicę) — tymczasem ludzie duszą się w „dólskiem“ Zakopanem, zabudowywanem ponad normę, a tu na górę nikt nie wychodzi z racjonalnym planem rozbudowy na wielką skalę. O wyższości tego powietrza niema co i mówić. Och nie, do prawdy, to przysłowiowe niedbalstwo, czy niewiedza prywatnych czy państwowych posiadaczy kapitałów, gdy chodzi o nowoczesną gospodarką uzdrowiskową — zaczyna już działać na nerwy!



By się więc trochę uspokoić, wpatruję się w śnieżny graniczny łańcuch górski i oddzielam nazwami białe czuby: Goryczkowej, Kasprowego, Świnnicy. A potem z górki na pazurki do wsi, Nowe Bystre i Dzianisz — to cel mojego dzisiejszego spaceru czy wyprawy, a stamtąd dalej, dokąd nogi i... pieniądze poniosą. Bo tego kawałka chleba ze serem, co mam w kieszeni, nie można chyba liczyć do zaprowiantowania, szczególnie, o ile ma się zdrody żołądek i nienajgorszy apetyt, co przy tak świeżem i ostrem powietrzu nikogo chyba nie powinno dziwić.

Drogi bez lasu, wyboiste, gliniaste. W kałużach pęka szron po ciosem pierwszego słońca. A potem cienie pod krzakami zwijają się i podkurczają nogi, gdy je zalewa światło.

Znowu skrzyżowanie dróg.

Potem jeszcze jedno i jeszcze znowu rozstaje.

Nowe Bystre. Dzianisz. Poszczekują psy. Stary dziadunio ćmi okropną góralską fają i czuwa nad małemi, nieufnemi dziećmi. Teraz chuda, dzika dziewka weszła do koszaru, gdzie beczą owce, zbite w ciepły, zimowy kłąb sierści.

Stare budownictwo drewniane krzepko się tu trzyma. Brązowe, zadymione chałupy — stare dzwonnice — poważne drewniane wieże, surowe i charakterystyczne w kształcie, stoją zawsze za kościołem. Patrzę na to oczywiście nie fachowem okiem historyka sztuki (o rety, ileż to o tem napisano foljałów!), ale okiem najzupełniej prywatnem, ciekawie oceniającej miłośniczki, ucieszonej skrycie, że wolno jej bezkarnie popełniać herezje krytyczne, od których włosy na siwych głowach powstałyby profesorom.

Patrząc na szlachetne linje, ciosane w drzewie, rozumiem, dlaczego najznakomitszemu krytykowi sztuki XIX wieku udało się tak zapalić elitę umysłową do sztuki rodzimej, góralskiej. I dziś, mimo haseł modnego budownictwa, głoszonych urbi et orbi“, z przyjemnością powitalibyśmy w Zakopanem drewniane świetlice góralskie nawet w „murowanicach“, podobały się nam więcej od standartowych koszarowych „pałaców“ (dla zaniepokojonych: oczywiście, góralszczyzna świetnie godzi się z łazienką).

Czas iść dalej. Jeszcze tylko wspomnienie tych świątków, co po drogach modlą się w drewnianych kaplicach, rzezane, kowane niemal w jędrnej bryle drzewa dłutem domorosłego snycerza, jako wyraz odwiecznej tęsknoty religijnej i dostępna ilustracja świętości. Przypominają się tu wiersze ballady Zegadłowicza, mówiące o tych świątkach w „Powsinogach beskidzkich“ gwarą żywą i chropowatą, jak nieuczone natchnienia góralskiego snycerza.





Stary góral.

Na lewo: Kościół drewniany w Nowem Bystrem.

Na prawo u góry: Kapliczka przydrożna w Dzianiszu.

ZDJĘCIA F. LARISCHA.

W Chochołowie oglądam nowy kościół parafjalny murowany, gotycki. Żal dawności. Kany się podziały stare, dobre casy...

W Chochołowie czuje się najlepiej odwieczną polskość tego odrębnego i zaciętego ludu. Wspomnienie mówi o walkach wyzwoleńczych 1846 r. i powstaniu chochołowskiem, nazwanem tak, gdyż tu było centrum ruchu, walczącego o wolność narodu. — Z przyjemnością ogląda się te wsie, leżące trochę na uboczu od głównego szlaku turystycznego i przez to rzadziej zwiedzane. Ludzie tutaj, nie zepsuci przez letników, darzą turystę iście patrjarchalną serdecznością, a szczególnie, gdy dowiadują się, że się o nich napisze do gazety.

W Witowie pozostaję na noc w gazdowskiej chacie. Wszędzie rzeźbione sosręby, stylowe łyżniki, ażurowe ozdoby u czerpaków. Pokazują mi okaz zamierającej, a może już zamarłej sztuki: obrazek góralski, malowany na szkle, przedstawiający Janosika z towarzyszami. Jeden z tych „harnych chłopców“ w „zbójnickim“ skacze i wyrzuca ciupagę wysoko ponad głowę, jednocześnie strzelając z pistoletu. A była to sztuka: „hłop miał gałąź i na pół strzelania uciąć na smreku ciupagom“. Dzisiejszy taniec zbójnicki jest już tylko parodją tamtych bajecznych i dzikich zapasów, ale też wtedy „zbójnike bodaś wto nie beł, Dziada odścigali hnet“.

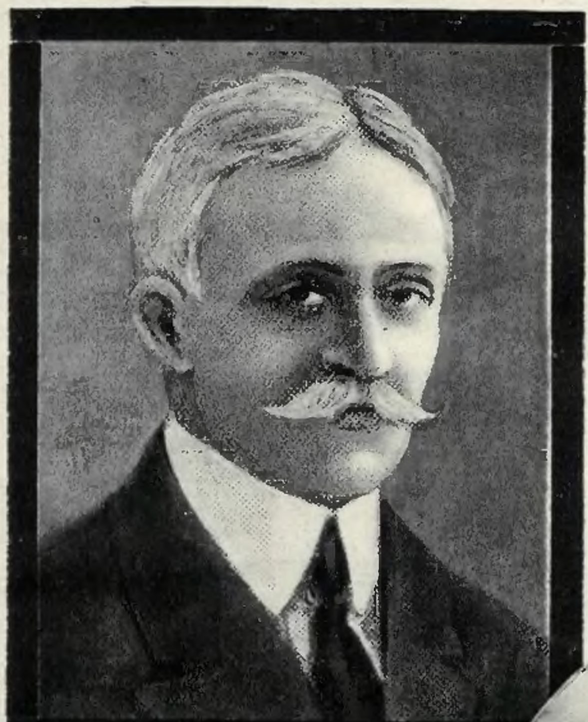
Gwarzę ze starym góralem, oczy mu się świecą, pamięta z opowiadań rodzinnych ostatnich zbójników: Mateję, Nowobilskiego, Tatara-Myśliwca — a sam ze swą suchą, sępią twarzą wygląda, jak z grobu wstały kompan tych, co „za bucki hipkali“ — i na tle zadymionej ściany marzy mi się, jak bajeczna, poczerniała rzeźba...

Nika.

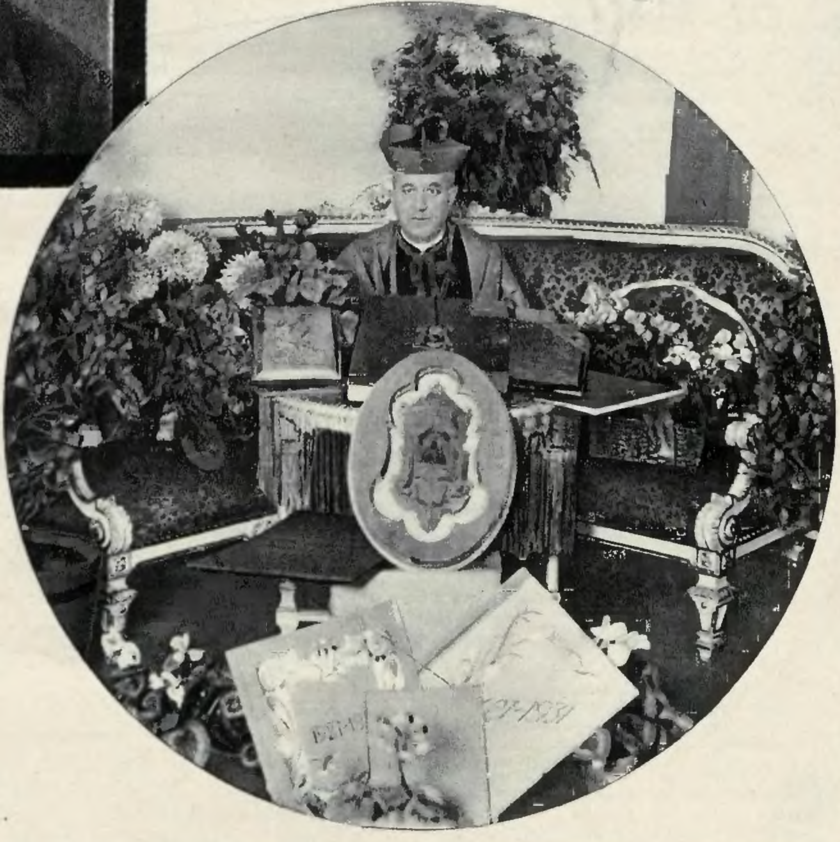
KRONIKA KRAJOWA.



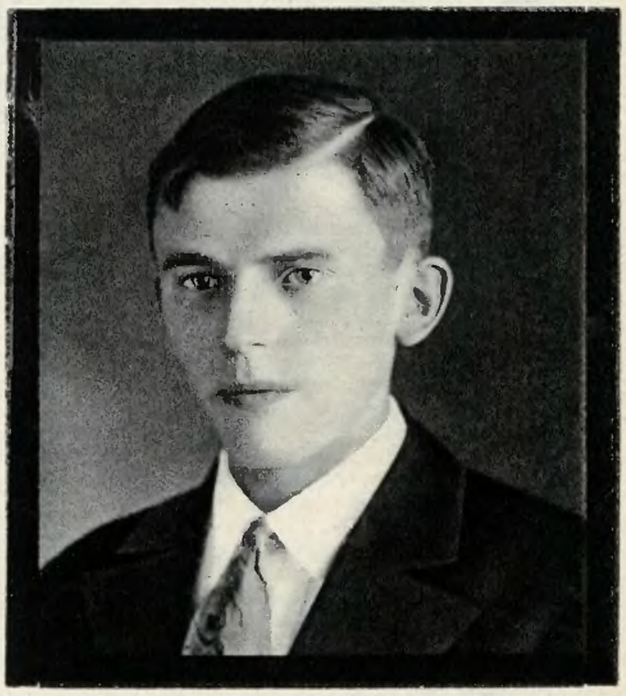
Echa święta Niepodległości w Zbąszynie. Z okazji 11-go listopada zespół amatorski w Zbąszynie odegrał sztukę p. t. „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć“ reżyserji p. Piechowiaka. Zdjęcie przedstawia amatorów w czasie próby generalnej. Zbąszyń jest miejscowością graniczną, leżącą na granicy polsko-niemieckiej w woj. poznańskiem.



Zgon wybitnego przedstawiciela wielkiego przemysłu polskiego. Dnia 22 b. m. zmarł śp. Jan Zagleniczny, jedna z czołowych postaci wielkiego przemysłu w odrodzonej Polsce. Zmarły nietylko jako prezes Rady Naczelnej przemysłu cukrowniczego oraz wiceprezes Rady Nadzorczej Banku Cukrownictwa, lecz również piastując przez jakiś czas stanowisko ministra handlu i przemysłu oraz zasiadając w Senacie położył wielkie zasługi na polu rozwoju życia gospodarczego w Polsce.



W kole: **Uroczystości w Łodzi.** W tych dniach diecezja łódzka obchodziła uroczyście swe 10-lecie, które zbiegło się z jubileuszem 25-lecia kapłaństwa Arcypasterza tej diecezji ks. biskupa dra Tymieckiego. Zdjęcie nasze przedstawia Dostojnego Jubilata z adresami hołdowniczemi, które złożono Mu w dniu jubileuszu.



Ofiara demonstracji wileńskiej. Śp. Stanisław Wacławski, student I-go roku prawa, zabity podczas demonstracyj antysemickich na Uniwersytecie Stefana Batorego we Wilnie i pochowany tamże. Śp. Wacławski był synem rolnika i pochodził z Małopolski Wschod. Początkowo studjował teologję, poczem przeniósł się na prawo.



Otwarcie Wystawy Tow. Artystów Polskich „Sztuka“ w Bydgoszczy. Wystawa ta mieści się w Muzeum miejskim. Biorą w niej udział Axentowicz, Filipkiewicz, Jarocki, Kamocki, Laszczka, Mehoffer, Pautsch, Sichulski i Weiss. Otwarcia Wystawy dokonał inż. Janicki, witając serdecznie prezesa „Sztuki“ p. Filipkiewicza, dzięki którego inicjatywie Wystawa ta przyszła do skutku.

Krzyżówka.

(Warszawski Klub Szaradzistów).



Rzędy poziome 1, 24, 46, 69 i 93 dadzą główne rozwiązanie: tytuły pięciu w Polsce najpoczytniejszych pism.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

Poziomo: 9. Strona ujemna człowieka albo przedmiotu. 10. Pomost do spania. 11. Imię żeńskie zdrob. 13. Rzeka w Niemczech. 14. Zaimek. 15. Głos mocny, donośny. 17. Przyimek. 18. Brak wolności, przymus. 22. Mowa, narzecze ludowe. 28. Welon. 29. Święto, próżnowanie. Symbol pierwiastka. 32. Miara. 34. Zaimek względny. 35. Spójnik. 36. Wół tybetański. 38. Pierwiastek, metal. 41. Astrolog u Persów. 42. Otwór od szpunta w beczce (wspak). 44. Papuga. 45. Pogoda. 48. Miasto w Senegalu. 49. Napis na receptach. 50. Dawna drobna moneta. 52. Dopływ Kamy. 54. Ptak wróblowaty. 56. Kawał lodu. 57. Symbol pierwiastka. 58. Okrees czasu. 60. Przysłówek. 62. Ogród owocowy. 63. Kipi, gotuje się. 64. Instrument o najniższym tonie basowym, l. m. (wspak). 66. Olbrzym. 68. Państwo w Azji. 73. Trzody, tabuny. 74. Nadanie wyższej rangi. 76. Spółgłoska fonet. 78. Papugi. 79. Święty po portugalsku skr. 81. Napis na receptach. 82. Powitanie dziecka. 83. Przeczenie. 85. Niedziałka. 86. Miasto w Belgji. 87. Wyspa angielska. 88. Praca na roli. 90. Zaimek. 92. Patrol nocny.

Pionowo: 1. Jutrzenka. 2. Doniczka na kwiaty. 3. Imię żeńskie zdrobniałe. 4. Rzeka na Łotwie. 5. Zaimek. 6. Wrzątek. 7. Imię męskie. 8. Jednostka siły. 12. Kobierzec. 15. Stolica Estonji. 16. Żyjątko morskie. 19. Rzemieślnik. 20. Nicpoń, nędznik, 21. Przekop podłużny. 23. Marka aparatów fotograficznych. 24. Człowiek obłąkany. 25. Wąż. 26. Miasto w Finlandji. 27. Wóz kolejowy 2 p. (wspak). 31. Budynek tymczasowy. 33. Rumowisko skalne. 35. Metal. 37. Rodzaj łodzi. 39. Bogini litewska. 40. Ojciec zdrobniale. 41. Nakrętka, kluba. 43. Ucisk, gniecenie. 45. Współbrzmienie tonów. 47. Poeta liryczny. 51. Ten, który nie może mówić. 53. Ptak drapieżny. 55. Rzeczy święte. 56. Zboże grubo mielone. 57. Głęboki sen magnetyczny. 59. Spencer, marynarka. 61. Derka. 62. Pierwiastek. 63. Będąca sprawczynią jakiegoś wykroczenia. 65. Korona papieska. 67. Odkryty wagon. 68. Posiedzenie. 70. Wydawca. 71. Malarz rosyjski. 72. Imię męskie. 75. Poeta włoski. 77. Instrument muzyczny. 79. Potwór bajeczny. 80. Złuda. 82. Dama. 84. „Były". 87. Siła. 89. Przyimek. 92. Nuta.

Za rozwiązanie powyższej krzyżówki redakcja „Swiatowida" przeznacza

cztery nagrody.

Pierwsza zł. 50·—, trzy następne po zł. 25·—

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 5-go grudnia 1931 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 45

„Domowy przepis na szarady".

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 45 nadesłali:

Ir. Szczecińska, Kraków; Nosek Z., Kraków; por. Edw. Kreyser, Warszawa; Lu Tryczyńska, Kraków; Jan. Gorzecka, Kraków, H. Kornaszewska, Łask; Sta K., Jarosław; P. Abrahamówna, Pilzno; Cz. Gorzkowska, Krków; Ludw. Wójciński, Pabjanice; Ludw. Filipek-Jaworzyńska, Kraków; M. Jackowska, Borysław; W. Pędzimąż, Zakopane; W. de Lippa, Warszawa; Jadw. Kurekowa, Dobrzelin; Wojciech Kowalski, Warszawa; St. Dołjgowska, Lwów; W Maziarzówna, Ozorków; „Ares', Bielsko; J. Maćkowiak, Kościan; R. Stanienda, Paris; M. Stempa, Inowrocław; B. Morawski, Katowice; St. Mikruta, Będzin; Franc. Staszak, Będzin; Hel. Staszakowa, Będzin; Andrzej Matuszek, Będzin; Kubiński, Grudziądz; J. Gręda, Gniezno; Ala Hauschildowa, Nowy Targ; Fryda Speierówna, Kołomyja; R. Męndrala, Rzeszów; M. Pastuszczynowa, Tarnopol; Anna Nasada, Tarnopol; „Mahomet", Krakóww; Jadw. Gapińska, Bydgoszcz; M. Wojtykowska, Bydgoszcz; Hal. Moskwińska, Lwów; Tadeusz Neumann, Drohobycz; J. Stolarski, Łódź; Z. Skowronówna, Ostrowiec kieł.; H. Makarewicz, Ostrowiec; I. Glaszmidt, Warszawa; H. Zawistowska, Warszawa; Samuel Lang, Drohobycz; Miecz. Reich, Drohobycz; Marja Lang, Drohobycz; Zb. Dobrzański, Katowice; J. Jonasik, Łask; J. Sosenko, Dąbrowa; Szwaja Edw., Włodzimierz woł.; Stan. Mucha, Kraków; H. Michalak, Ostrów; Anna Szmytowa, Poznań; Wiktor Kortylewicz, Poznań; Jan. Miodowiczówna, Gniezno; Jar. Baziuk, Kraków; Hel. Zarembianka, Toruń; Ir. Kalinowska, Warszawa; K. Pycio, Pabjanice; J. Czerwenka, Stryj; An. Blaszkowa, Złoczów; O. Sykoraa, Nowy Sącz; J. Komala, Kraków; M. Morgenbesser, Loszniów; kpt. Klemens, Kielce; Tad. Zawadowski, Śniatyn; Eug. Monkowska, Opatów Kiel., Karol Polański, Warszawa; Krystyna Nowicka, Pabjanice; **Stanisław Bojarski, Okocim (zł. 50.—)**; Hal. Gosławska, Warszawa; M. Rundowa, Bielsko; Franc. Litwiński, Lublin; Zb. Szymonowicz, Lwów; Jawnuta, Słonin; Massalski, Zakopane; dr. Kaz. Ossowski, Warszawa; K. Karasińska-Osowska, Warszawa; Lena Kanenbergowa, Skarżysko kam.; Julja Goławska, Łask, Z. Wieczorek, Tarnobrzeg; K. Wasielewski, OstZrów; Witold Własczuk, Będzin; L. Skowron, Będzin; Bron. Ramułtowa, Jeżów; Z. Łakociński, Kraków; T. Sławnicki, Białystok; Molicey, Zbąszyń; Wl. Jankszówna, Olorowo; Zb. Dobrzański, Katowice; Tad. Urbanek, Jarocin; T. Kretkowski, Warszawa; J. Surma, Białystok; Halina Surma, Warszawa; Wład. Liton, Jarocin; H. Jarecka, Kalisz; W. Ossowiczowa, Piastów; M. Poćwiardowska, Toruń; J. Rogowski, Warszawa; „Wilnianka", H. Szutowicz, Nowowilejka; L. Pogoda; Zdz. Iwaszek, Trzemeszno; F. Wład. Kowalski, Warszawa; K. Zarzycka, Lwów; M. Waksmundzka, Jasło; Ant. Grzybowska, Mysłowce; Z. Siudowa, Toruń; Mich. Pietrusiński, Brześć; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; Dz. Laskówna, Lwów; Z. Ludwigowska, Warszawa; Tadeusz Berner, Bielsko; Tad. Klimczak, Złoczów; Ludw. Domański, Kowal; Mich. Wysocka, Warszawa; por. J. Neumann, Skierniewice; Kaz. Koszko, Zakopane; Stan. Ciechanowski, Łęczyca; „Hanka ze Lwowa"; J. Kulesza, Myszków; „Janosik", Zakopane; H. Frankowska, Bitków; M. Pobóg, Sosnowiec; W. Tyblewski, Poznań; H. Sobkiewiczówna, Poznań; Tadeusz Sobolewski, Września; Wład. Wielhorski, Warszawa; M. Szuberowa, Sambor; J. Gyurcsak, Bystra; Tad. Bromirski, Bystra; Z. Boulange, Baczków; M. Pulkowa, Żywiec; „Jurek", Kraków; St. Stępiński, Łódź; J. Głuchowska, Pińczów; L. Galewiczówna, Ozorków; Lili Pleskawiczówna, Kraków; St. Kowalski, Pińczów; „Atila', Warszawa; L. Osiecki, Lwów; Cz. Osiecka, Lwów; L. Jajkiewicz, Tarnobrzeg; W. Cichocka, Skarżysko; M. Fijałkowska, Myszków; J. Beldykier, Radziki Duże; H. Puksztowa, Łódź; H. Kowalski, Łódź; **H. Chmielewska, Starogard (zł. 25.—)**; M. Gawronowa, Przemyśl; J. Ruta, Wieluń; St. Zawadzki, Warszawa; L. Perlberger, Przemyśl; H. Kowalwska, Włocławek; inż. Modrzejewski, Lublin: W. Wróblewski, Włocławek; Ing. Zieliński, Równe; Wład. Słabicki, Kołomyja; Sz. Rybczyk, Rzeszów; J. Makosikówna, Leżajsk; Wład. Lubnauer, Zgierz; A. Turowicz, Płock; St. Czerniawski, Warszawa; dr. Lipowski, Zawichost; „Kajot". Jaworzno; Wilh. Kierepkowa, Trembowla; Z. Studencka, Bielsko; „Maryśka z Pohulanki"; „To-Lo", Kraków; J. Sierpniak, Inowrocław; H. Nałęcz, Łańcut; M. Magierowa, Toruń; Wład. Górski, Poznań: E. Nehring, Częstochowa; Stef. Krupkowa, Stanisławów; M. Rappel, Augustów; K. Puchowicz, Warszawa; inż. Lucjan Bartnicki, Pabjanice; W. Luxenburg, Płock; Kuba Buzin, Łódź; J. M. Brzozowska, Warszawa; W. Krzysztofowicz, Załucze; M. Wysocka, Warszawa; **Tadeusz Szancer, Przemyśl (zł. 25.—)**; J. Bielesz, Kraków; Z. Nowicka, Bydgoszcz: R. Buzkówna, Kraków; Eug. Symonówna, Kraków; H. Litwin, Kraków; B. Kociuba, Kraków; Z. Pieracki, Wilno; R. Dergiman, Wilno; Mr. Hubert, Żabno; J. Majewska, Skierniewice; W. Wysocki, Skieniewice; M. Drzewińska, Dubiecko; L. Jurkiewicz, Lwów; N. Baśka, Brzozów; W. Olexówna, Warszawa: Slena Rosiekówna, Kraków; K. Brok, Dąbrowa Górn.; J. Sokołowski, Skobełka; J. Siutówna, Kraków; Eug. Turówna, Jaworzno; J. Wójtowicz, Zakopane; Bron. Aegler, Kościan; T. Sobecki, Poznań: W. Siuta, Kołomyja; Ant. Witkowski, Poznań: St. Effert, Poznań: Zb. Tokarski, Kraków; J. Gryglanewski, Kraków; Stef. Chciukówna, Mysłowice; Ir. Lewicka, Lwów; Bron. Szast, Warszawa; Ir. Jaworska, Kraków; Edw. Chmielak, Kraków; L. Trepińska, Katowice: Sylw. Klupsz, Kościan; Paweł Karszo-Chmielewski, Warszawa; Kaz. Siewierski, Kraków; H. Leśniewska, Warszawa; J. Bergerówna, Zawiercie; Mir. Jakubowska, Warszawa; M. Kacenelenborger, Łomża; B. Kolasińscy i W. Mączka, Tarnobrzeg; Zygm. Łabęcki, Tarnowskie Góry; L. Świerczyński, Lwów; Zb. Chciuk, Mysłowice; Bron. Chyczewski, Warszawa; Stan. Sahanek; Kołomyja; R. Domanik, Stryj; Wład. Wróbel, Tarnopol; J. Parachoniak, Bystra; Hel. Parachoniak, Bystra; Em. Kostyrkówna, Jarosław; **Władysław Góral, Kraków (zł. 25.—)**; A. Rotter, Kraków; por. Winc. Rytko, Bielsko; Jan. Morelowska, Kraków; W. Wizor, Lwów; M. Gorzecka, Kraków; M. Paszkiewiczówna, Brześć; Z. Tielz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; Kaz. Kochmański, Kraków; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; Cz. Kozłowski, Warszawa; J. Żurakowska, Warszawa; Dy-M. Vossowa, Kutna; Hel. Kałka, Częstochowa; Ad. Berezowska, mitr Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; Em. Sowiarówna, Kielce; Lwów; Z. Żukowa, Jędrzejów; W. Brożyna, Szopienice; D. Herbstmanówna, Warszawa; J. Dobrowolska, Toruń; H. Buczkówna, Rzeszów; Edw. Szynke, Warszawa; Eug. Leonowiczówna, Berezno; A. Jabłońska, Kraków; G. Wadler, Kraków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Stanisława Bojarskiego, Okocim (zł. 50.—), H. Chmielewską, Starogard (zł. 25.—), Tadeusza Szancera, Przemyśl (zł. 25.—) i Władysława Gorala, Kraków (zł. 25.—, prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór kwoty).

Zamiejscowym redakcja „Światowida" prześle gotówkę niebawem.

WYJAŚNIENIE KWESTJI.



Pan domu: — Więc któż tu ostatecznie rozkazuje — ja, czy Weronika?

Weronika: — Ani Weronika, ani pan, tylko jaśnie pani!

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 231-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

MORDERSTWO Z ZAZDROŚCI W WARSZAWIE.

Jednym z najniebezpieczniejszych przesądów, jaki pokutuje w naszej cywilizacji jest przesąd zazdrości. Od wieków łączy się nierozdzielnie zazdrość z miłością i uważa się, że bez zazdrości nie może egzystować żadne prawdziwe uczucie. Jeżeli ktoś nie jest zazdrosny, to wniosek jest zupełnie jasny, że nie żywi on prawdziwie głębokiego uczucia...

Ta usankcjonowana przesądem zazdrość jest też powodem ogromnego procentu zbrodni, zbrodni wynikających ze ślepej żądzy zniszczenia tego, co jest powodem naszej zazdrości. W chwili szału człowiek zazdrosny popełnia mord instynktownie na tej samej zwierzęcej zasadzie, na jakiej dziecko niszczy zabawkę, nie chcąc, aby dostała się w ręce innego. Oto jest psychologiczne podłoże morderstwa z zazdrości. „Ja nie mam, więc i ty nie miej!", oto logika furjata, którego opęta zazdrość.

Zazdrośnik, czy zazdrośnica to charaktery w założeniu swojem terorystyczne, które są nieszczęśliwe, jeśli nie wykonują stałej presji na drugą osobę. Są to niewątpliwi sadyści w mniejszym niejako zakresie, którzy lubują się widokiem przykrości i bólu drugiej osoby. Człowiek zazdrosny działa subtelnie, podchwytuje szczegóły i rozkoszuje się widokami ewentualnej zdrady.

Zabójstwa z zadrości stały się w czasach ostatnich szczególnie popularne. Jest to zupełnie zrozumiałe na tle rozigranych nerwów powojennych, które stają się przyczyną olbrzymiego procentu nieszczęść rodzinnych i niszczą wszelkie pożycie pomiędzy ludźmi. Te właśnie nerwy powodują scysje o charakterze gwałtownym, te właśnie nerwy wtykają broń w nieodpowiedzialne ręce furjatów. Wiadomo każdemu, że ilość histeryków i histeryczek jest dzisiaj większa niż kiedykolwiek, a to z tego powodu, że ludzie nie kryją się ze swojemi instynktami i że instynkty te wyłażą przy lada okazji, nie powstrzymane kontrolą rozumu. Drugim powodem tych mnożących się zbrodni z zazdrości są głębokie zmiany, jakie zaszły w moralności powojennej. Mężczyzna nie może się pogodzić ze swobodnem życiem kobiety, a kobieta nie potrafi zrezygnować z prawa wyłączności w stosunku do mężczyzny.

Klasycznym typem takiej zbrodni zazdrości był ponury dramat, jaki rozegrał się nie tak dawno w teatrzyku warszawskim „Ananas", gdzie adorator tancerki Igi Korczyńskiej — Dzierżyński zastrzelił ją w garderobie teatralnej za to, że nie chciała zgodzić się na dalsze z nim pożycie. W ten sposób opętany zazdrością szaleniec dysponuje samowolnie młodem życiem kobiecem, uważając, że jeżeli ukochana jego nie chce z nim dzielić życia, to nie powinna korzystać już nigdy z dobrodziejstw miłości.

Na tem samem podłożu, podłożu bardzo pierwotnem i barbarzyńskiem wspiera się nowa zbrodnia, dokonana tym razem przez kobietę. Siedem kul rewolwerowych, wpakowanych w ciało kochanka — oto argument, jaki wybrała sobie Zofja Zyta Woroniecka-Töpferowa w odniesieniu do swojego ukochanego Jana Brunona Boya.

Warto przypatrzyć się bliżej, jakie jest tło tej smutnej historji. Z jednej strony występuje w niej kupiec warszawski, który po rozejściu się ze swoją żoną nawiązuje stosunki z ks. Woroniecką. Ks. Woroniecka jest również rozwódką. Przed rokiem niespełna wyszła ona zamąż wbrew swoich rodziców, za inż. leśnego Jana Töpfera i rozstaje się z nim już po miesiącu pożycia. Ks. Woroniecka podaje jako powód swego rozstania się z mężem jego brutalność i znęcanie się nad nią.

Kochankowie żyją ze sobą zaledwie kilka tygodni i oto pewnego poranka Zofja Töpferowa a raczej Zofja Woroniecka (gdyż po zerwaniu z mężem powróciła do swojego panieńskiego nazwiska) kieruje lufę rewolweru w stronę śpiącego w łóżku kochanka i oddaje do niego siedm kolejnych strzałów rewolwerowych. Każdy z tych strzałów jest śmiertelnym, a pierwsza już kula przeszyła serce nieszczęśliwego. Wynika z tego, że ks. Woroniecka strzelała nie naoślep, jak się to zwykle zdarza w dramatach miłosnych, ale ze spokojem i precyzją charakteryzującą natury histeryczne.

Jakiż był powód szaleńczego czynu ks. Woronieckiej?

Przesłuchiwana w śledztwie zeznaje ks. Woroniecka, że powodem morderstwa było niewłaściwe zachowanie się kochanka. Morderczyni upiera się przy twierdzeniu, że Boy obiecywał jej małżeństwo, jednakże zwlekał z niem i łudził ją obietnicami. Równocześnie zaś według zeznań Woronieckiej flirtował z innemi kobietami i te właśnie rzekome zdrady kochanka doprowadziły Woroniecką do stanu zupełnego rozdrażnienia i niepanowania nad sobą.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Woroniecka natychmiast po dokonaniu morderstwa ochłonęła z podniecenia i zatelefonowała do biura swojego kochanka, wzywając szefa firmy do natychmiastowego zjawienia się. Podała również przez telefon roztrzęsionym głosem, że zamordowała Boya.

O ile w pierwszym dniu zachowywała Woroniecka spokój, o tyle już w drugim dniu śledztwa wykazuje zdenerwowanie i płacze w histeryczny sposób. Mamy tu znowu do czynienia ze znamiennem załamaniem się natur o podłożu histerycznem, które w pierwszej chwili starają się pokazać swoją obojętność i opanowanie, a potem rozprzęgają się zupełnie.

Badania lekarskie przeprowadzone na osobie morderczyni wykazują, że jest to natura o cechach nerwowych patologicznych, a przytem posiadająca pewne cechy specyficzne organizmu, które niewątpliwie przyczyniły się w dużej mierze do rozwinięcia tła histerycznego. *(g).*



Znakomita artystka Loda Halama po blisko dwuletniej przerwie powraca do pracy artystycznej. Niebawem otwiera p. Halama w Warszawie „Szkołę Tańca Artystycznego" i ma też podobno wkrótce ukazać się na jednej ze scen stołecznych. Fot. Dorys.



Dom przy ul. Senatorskiej 31 w Warszawie, w którym mieszkał zastrzelony przez kochankę przemysłowiec Boy.



Na lewo: Brunon Boy, ofiara tragedji miłosnej, zastrzelony w dniu 20. bm. przez swą kochankę Zoffę Töpferową.



Na prawo: Ks. Zyta Korybut Woroniecka. Zdjęcie powyższe wykonane zostało w Urzędzie Śledczym w Warszawie.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

WITOLD CONTI U POLI NEGRI.



Jednym z najsympatyczniejszych amantów filmowych jest bezwątpienia Witold Conti. Ujrzymy go niebawem na ekranie w porywającej wizji czynu legjonowego — w obrazie „Rok 1914“, w którym kreuje główną rolę. Na zdjęciu Conti w parku w Seraincourt, posiadłości Poli Negri we Francji, gdzie zażywał w pełni swobody wiejskiego życia.